CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK II. WARSZAWA, 5 Grudnia 1937 R. NR. 47-48

Przed nową sesją

Zebranie sesji Sejmu, szczególnie wtedy, gdy Sejm ten nie obraduje w permanencji, jak to było udziałem i zwyczajem Sejmów poprzednich, jest zawsze wydarzeniem dużej wagi. W obecnych warunkach znaczenie tego wydarzenia jest poważnie spotęgowane przez pytanie: czy w czasie obecnej Sesji nasze ciała parlamentarne potrafią odnaleźć ton, który by wzmocnił ich sytuację jako naczelnej instytucji i naczelnego wyrazu całości naszego życia społecznego?

W genezie dzisiejszego Sejmu, w zlekceważonym stosunku negatywnym dużych sił zbiorowych do sposobu jego powstania — były pewne czynniki, osłabiające jego pozycję w społeczeństwie. Znaczenie tych momentów i ich istotna waga są przedmiotem sporów politycznych i politycznej różnicy zdań. W każdym razie nie były one tak wielkie, by mogły w czymkolwiek pomniejszyć i ograniczyć możność i swobodę działania tego Sejmu. A jeśli tak — to punkt ciężkości tym samym przesuwa się już od okoliczności powstania naszych obecnych ciał parlamentarnych, na warunki i rezultaty ich pracy konkretnej. Przez pewną analogię można by powiedzieć, że przecież warunki powstania Sejmu Czteroletniego były te same, jak warunki powstania szeregu sejmów o najgorszej pamięci w naszej historii. Różnica wytworzyła się dopiero w następstwie, w sposobach pracy, w fakcie, że Sejm Czteroletni odnalazł ton, który w owoczesnych warunkach był słuszny i konieczny.

Jak jest z rezultatami dotychczasowej pracy obecnego Sejmu? — Niestety, największy przyjaciel tego Sejmu nie może chyba twierdzić, że w doświadczeniach sejmowych z lat ubiegłych można było wyczuć tego rodzaju tętno życia, jasność i śmiałość działania, poczucie odpowiedzialności, które by mogły w społeczeństwie przesłonić pewne obarczenia obecnego Sejmu okolicznościami jego narodzin.

Przeciwnie! W teoretycznych koncepcjach rzuconych parlamentowi, jako zasadnicze wytyczne jego działania i postępowania, było poważne niebezpieczeństwo dalszego odrywania parlamentu od społeczeństwa, a więc od jedynie istotnego źródła jego siły i znaczenia, natomiast pomniejszanie jego roli przez zamienienie go na szereg wspólnie zebranych i obradujących sejmików prowincjonalnych. A równocześnie i sam parlament nie umiał znaleźć dla siebie przedmiotu zainteresowań na najwłaściwszej, najpewniejszej glebie żywej inicjatywy ustawodawczej, szukał ich natomiast na drogach najbłędniejszych.

Szczególnie w ubiegłej sesji zimowej zarysowało się wyraźnie paradoksalne i niezdrowe zjawisko. Parlament, powołany jako przeciwieństwo sejmów poprzednich, nazwijmy je z uproszczeniem chronologicznym „przedmajowych", był bliski, by za najważniejsze zajęcie swe uznał to, co było właśnie największym grzechem sejmów poprzednich: przeszkadzanie w drobiazgach i fragmentach rządzenia. Równocześnie zaś pozostawiał czynnikom rządzącym niemal całą inicjatywę ustawodawczą, ograniczając się w tej dziedzinie w sposób nadmierny do rozpatrywania przedstawionych mu projektów ustaw. W rezultacie— jako wynik działalności parlamentarnej — do społeczeństwa dochodziły przede wszystkim nie wielkie i zasadnicze spory o zdrowsze podstawy całości naszego życia, lecz właśnie drobne kłótnie, drobne złośliwości, drobne posunięcia taktyczne. To zaś nie mogło przyczynić się do podniesienia autorytetu obecnego Parlamentu, w konsekwencji zaś, po doświadczeniach poprzednich sejmów, było jednym z czynników szczególnie szkodliwego zjawiska, to jest osłabiania wiary w wartość całego systemu parlamentarnego.

Ten stan był wybitnie szkodliwy. Czy w roku bieżącym będzie lepiej?

Na to pytanie odpowiedzieć nie umiemy i nie przewidywanie przyszłości jest naszym celem. Chodzi nam tylko o podkreślenie, że Sejm, jeśli chce na obecnej sesji odnaleźć ton właściwy, szukać go musi zupełnie gdzieindziej i zupełnie inaczej, niżeli czynił to w czasie sesji poprzedniej. Istotą muszą być nie sprawy prestiżowe, lecz — obok sumiennie i dobrze wykonywanej normalnej roboty budżetowej — szeroka i ujmowana pod kątem przyszłości, wykraczającej może nawet poza zainteresowania i bezpośrednie życie obecnego Sejmu, inicjatywa ustawodawcza.

To jest dla Parlamentu zagadnienie główne. Realne znaczenie tego zagadnienia w naszym życiu jest tym większe, iż w tak wielu dziedzinach żyjemy jeszcze kategoriami przeszłości, nic nie mającymi wspólnego z dzisiejszym życiem obecnej Rzeczypospolitej.

Przez społeczeństwo od pewnego czasu idą hasła, które w najlapidarniejszym skrócie dałyby się ująć w starej formule Wyspiańskiego: „Skończyć nędzę, zacząć dzieła!". Nie będziemy zajmowali się zagadnieniem, w jakiej mierze i w jakich dziedzinach hasła ta znajdują swój wyraz realny w rzeczywistości, w jakich zaś są wciąż jeszcze wyrazem dysproporcji pomiędzy tendencją i istotą życia. Wydaje nam się jednak, że jak w wielu innych wypadkach, tak i w odniesieniu do obecnego Parlamentu, momentem decydującym może być tylko to, czy odnajdzie drogę, wiodącą od zainteresowań rzeczami małymi i bez głębszego znaczenia do rzeczy naprawdę istotnych.

Sprawa nie jest łatwa — to pewna. Dla dzisiejszego Parlamentu jest to jednak jedyna droga, na której szukać może istotnie wartościowego kontaktu ze społeczeństwem, istotnego podniesienia swego dotychczasowego znaczenia. Zlekceważenie tej prawdy musiałoby mieć skutki wybitnie ujemne.

Tadeusz Katelbach

Na przełomie dwóch epok

Referat wygłoszony na Zjeździe Związku Seniorów O. M. N. i Z. P. M. D. w dniu 28 listopada r. 1937

W tytule mego referatu znajduje się słowo „przełom". Mógłby ktoś powiedzieć, że zbyt często operujemy tym słowem, że wogóle słowo to w odrodzonej Polsce używane jest w nadmiarze. Zarzut tego rodzaju byłby nieuzasadniony. Pokolenie nasze, pokolenie, które przeżyło najwspanialszy i najradośniejszy przełom — odrodzenia niepodległości państwowej, wkroczyło w życie państwa w pełni świadomości, że jego budowa nie będzie się odbywała w warunkach spokojnych. Wielka wojna nie przyniosła oczekiwanej ery dobrobytu i stabilizacji politycznych stosunków międzynarodowych. Odradzająca się Polska wtłoczona została pomiędzy dwa wielkie organizmy, które od pierwszego dnia zakończenia wojny stały się ogniskami walczącymi nie tylko z nowym, politycznym porządkiem rzeczy, lecz ogniskami odrębnych, ścierających się z sobą ideologii, nie wróżących zbliżania się ery stabilizacyjnej. Ta nasza, zupełnie specyficzna, używając przyjętej dziś terminologii, sytuacja geopolityczna, stawiała nas w położeniu niebywale trudnym, tym trudniejszym, że chodziło o państwo dopiero odradzające się, którego obraz wewnętrzny — pozostałość długoletniej niewoli, nie wywoływał w nikim wrażenia zwartości i jednolitości. Takie państwo musiało być raczej zgóry skazane na kroczenie — od przełomu do przełomu, na wykuwanie swych dróg rozwojowych w ciężkich zmaganiach wewnętrznych i zewnętrznych. Tak też było.

W latach 1918 — 1920 musiało prowadzić wojny na wielu frontach, musiało, ledwie odrodzone, przejść dreszcz obawy przed groźbą ponownej utraty niepodległości, musiało przejść przez okres osłabiających je walk wewnętrznych, przez zamach stanu, przez ciężką szkołę zmagań na terenie międzynarodowym w obronie nienaruszalności swego terytorialnego stanu posiadania, przez wszelkie kryzysy finansowo-walutowe, gospodarcze, bezrobocia, które wstrząsały znacznie silniejszymi od Polski organizmami państwowymi. Całość tych zjawisk już sama przez się składała się na charakter „przełomowy" naszego życia. Były to istotnie wszystko przełomy, które oddziaływały w zawrotnym, powojennym tempie na kształtowanie się naszej fizjonomii państwowej. Lecz wszystkich ich nie można porównywać, ani z przełomem 1918 roku, ani z przełomem obecnym, którego trwania i daleko idących konsekwencji nikt w chwili obecnej, nie mógłby obliczyć ani przewidzieć. Jedno jest pewne, że przełom, który przeżywamy teraz, może się stać przełomem na skalę epokową.

Epokowym przełomem był rok 1918. Przyniósł on bowiem rozdartemu w niewoli narodowi niepodległość państwową i zjednoczenie. Lecz tak głęboko w sobie nosiliśmy wiarę w nadejście tego dnia, przynajmniej my — pokolenie tak zw. niepodległościowe — że gdy sen o szpadzie stał się rzeczywistością, bardzo szybko zapomnieliśmy o wczorajszej niewoli. W 1920 roku broniliśmy istniejącego państwa, nie państwa, którego odrodzenie liczyło niespełna dwa lata, lecz państwa mającego za sobą wieki istnienia.

W listopadzie 1918 roku zdobyliśmy formę, w której naród może żyć pełnią swego życia. Lecz przełom listopadowy nie odmienił naszych dusz do głębi, nie wyrwał z korzeniami naszych nawyknień z czasów niewoli, nie wyzwolił nas spod wpływu tych kierowniczych idei, w których służbie kształtowała się polska myśl polityczna, społeczna, narodowa. A przecież byliśmy narodem, który, choć w niewoli, żył ideami i idee te — w miarę sił i możności — realizował.

Jacyś młodzi ludzie, których poniosła nie tylko ambicja narzucania narodowi nowych prawd, lecz również ambicja oceny idei, którymi żył naród w przeszłości, mieli rację tylko pod jednym względem, gdy analizując przeszłość mówili dwoma nazwiskami: Piłsudskim i Dmowskim. Nazwiska te bowiem, istotnie, stanowią dziś symbole przeszłości i to nie tylko blisko dwudziestoletniej przeszłości naszego odrodzenia państwowego, lecz przeszłości dawniejszej, sięgającej lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, a więc okresu budzącej się reakcji przeciwko popowstaniowemu pozytywizmowi. Obaj ci ludzie wycisnęli decydujące piętno na kształtowanie się polskiej myśli politycznej minionego półwiecza, nie zatracając nic ze swych właściwości indywidualno - politycznych. Jeden, stojąc na czele ruchu, który był w swym zaraniu reakcją przeciwko szkole politycznego pozytywizmu i politycznej ugody, przez całe życie pozostał jej wierny. Przez całe swe życie nie wyszedł poza zimny rachunek. Logizował, obliczał na zimno, uczył. Rzeczywista niepodległość Polski w pewnym momencie wypadła z tego rachunku. Do ostatka, nawet w czasie wojny, nie było w tym rachunku czynnej walki o wolność narodu. To też, gdy niepodległość przyszła, Dmowski nie umiał w niej działać, a gdy inni nawet skutecznie za niego działali — nie umiał z tego ich działania wyciągnąć właściwych dla swego ruchu konsekwencji. Dlatego łamały się wciąż jego szeregi i — co jest charakterystyczne — łamały się, bądź świadomie, bądź instynktownie szeregi młodych, których oddalał od Dmowskiego jego kalkulacyjny pozytywizm. W jego wszystkich pracach i myślach jedno było tylko cenne: nawet w okresach niewiary w istotną niepodległość narodu, wiary natomiast w jego trwanie raczej w postaci narodu zjednoczonego pod jednym zaborcą — Dmowski akcentuje, że nie ma narodu bez idei państwa, w swych rozlicznych studiach i pracach starał się zaszczepić w społeczeństwie przekonanie, że naród, jak gdyby ów „naród sam w sobie", niezależnie od form swego bytowania, jest realnym dobrem każdego Polaka, a dobro to — najwyższym kryterium jego postępowania.

Piłsudski tego pojęcia nie analizował. Naród dla Piłsudskiego — to była wolność. Nie istniał dlań żaden „naród sam w sobie", lecz tylko naród niepodległy. Wierzył weń, w jego wielką, dziejową przeszłość i w drogę jego przyszłych, dziejowych przeznaczeń, lecz wiedział, że taką drogą może iść tylko naród wolny. Od czasu pierwszych swych działań politycznych, od więzień carskich po więzienie magdeburskie, był konsekwentnym fanatykiem tej wiary. Wiarę tę czerpał z wieszczych natchnień polskiego romantyzmu, z mesjanicznej filozofii, która uczyła wierzyć w cuda. Był dzieckiem epoki romantycznej i realizatorem ideałów narodowych, które ona zrodziła. Na Józefie Piłsudskim — mocarzu czynu, twórcy państwa polskiego, zamyka się jej zwycięski, blisko całe stulecie trwający pochód.

Piłsudski — realizator wizji walczących o wolność pokoleń polskich, przez całe swe życie wybiegał myślą w przyszłość. Gdy państwo powstało już, widział inne państwo, doskonalsze, potężniejsze od powstałego. Wiedział, że tego obrazu za czasu swego życia w całości nie zrealizuje. Lecz tym namiętniej wskazywał Polakom wizję silnej Polski, chcąc znowu — jak za czasów niewoli wizją niepodległości— przepoić tęsknotą ku potężnej Polsce cały naród. W maju 1926 roku dokonał ostatniego w swym życiu rewolucyjnego przewrotu. Potrzebne mu to było, aby móc przynajmniej zacząć ustanawiać zręby tak pojętej

przyszłej Polski. Stworzył armię, przygotował konstytucję, znalazł Polsce miejsce właściwe wśród narodów. Szczegóły go nie obchodziły. Ten Wielki Budowniczy do końca swego znojnego żywota mierzył „siły na zamiary, a nie zamiar według sił". Narodowi, który wychowywał, rzucał hasło „wyścigu pracy", rozumiejąc, że tylko wielkim, wytrwałym trudem całego narodu można będzie zmniejszyć odległość, dzielącą „siły" od „zamiaru".

Gdy Piłsudski wypowiadał słowo „naród", gdy mówił „Polska" — to w tym słowie była treść zupełnie realna i żywa, owa „wielka Rzeczpospolita Polska" — mocarstwo nie tylko wojenne, lecz kulturalne na całym wschodzie Europy. Gdy słowa te wypowiadał Dmowski, była w nich często treść mądra i słuszna, lecz pozbawiona rumieńca życia. Ta treść Dmowskiego — pomimo odmiennych pozorów — była nierealna. Realną, twórczą, bo wyrosłą z ustawicznego trudu i działania, z ustawicznego stanu czynnego, była tylko treść Piłsudskiego.

To właściwie dzieliło te dwie indywidualności, które na przestrzeni ostatnich kilku dziesiątków lat odegrały rolę dominującą w kształtowaniu się polskiej myśli politycznej. W skrzyżowaniach jakie między nimi zachodziły zwyciężał zawsze twórczy dynamizm Józefa Piłsudskiego. Po śmierci Marszałka głębia tego zwycięstwa wystąpiła w całej pełni. Oto przecież już nieraz przed Jego uczniem i pierwszym żołnierzem Marszałkiem Śmigłym - Rydzem stawały w karnym ordynku i oddaniu tysiączne szeregi młodych, którym jeszcze kilka, czy kilkanaście lat temu zdawało się, że jedyną ideologię, która może uszczęśliwić naród, że jedyną prawdę, która prowadzi do Wielkiej Polski, głosi oschły i stary wódz endecji — Dmowski.

Jeżeli o tych postaciach tu mówię, to dlatego, że oni obaj—że tak powiem—zachowując wszystkie proporcje, zarówno co do formatu obu ludzi, jak i stopnia oddziaływania na masy, mieli w swych rękach w sensie polityczno-wychowawczym, wodzostwo dusz i że społeczeństwo polskie w znakomitej większości obie te postacie traktowało, jako punkty orientacyjne swych myśli i nadziei. Wszystkie inne postacie życia politycznego odegrały w stosunku do Piłsudskiego i Dmowskiego rolę drugo, względnie trzecio czy czwarto rzędną. Obie te postacie, które na przestrzeni ostatniego półwiecza wpływały decydująco na kształtowanie się polskiej myśli politycznej — odchodzą. Jedna już odeszła w pełni wielkości i zwycięstwa, druga odejdzie, zwyciężona, mając jednak w dziejach tego okresu swą historyczną kartę.

Wraz ze śmiercią Marszałka Piłsudskiego kończy się epoka Polski, którą bez przesady i żadnego sztucznego patosu można określić epoką Polski Piłsudskiego. On w niej dominował. On w przekonaniu masy niósł na swych barkach wyłączną odpowiedzialność za losy narodu, on za ten naród myślał i działał. Działał przy pomocy takich ludzi, jakich miał. Byli mu wierni. Stąpając po jeszcze nieuporządkowanych, wyboistych drogach polskich, oczarowani Jego gwiazdą i zapatrzeni w nią — zamiast myśleć o ciężkim trudzie dnia codziennego, o nakazywanym przez Niego „wyścigu pracy", wierzyli, że są orlętami, które tylko tak szybować mogą, jak ich Mistrz. Rok 1926 i lata następne odkryły to nieporozumienie. Zamiast budować fundamenty dla realizacji wizyjnych celów Marszałka, bujali nieraz w świecie pseudowielkich zamierzeń, oddalając się od polskiej rzeczywistości. W szybkim tempie wzrastały rażące dysproporcje pomiędzy nędzą dnia codziennego i aspiracjami mocarstwowymi Polski. Okazało się, że z wyjątkiem niektórych dziedzin naszego życia, żyjemy na ogół fragmentami, że we fragmentach tych często dokonaliśmy bardzo wielkich rzeczy, lecz że brak jest nam zwartej, prostej, programowej konstrukcji, która od góry do dołu przekształciłaby nasze życie społeczne i państwowe.

Wraz ze śmiercią Marszałka przestaliśmy być atrakcją dla otaczającego nas świata. Atrakcyjnością odrodzonej Polski był Piłsudski. Analizując to zagadnienie mówiłem we wrześniu roku ubiegłego: „Kto umiał w okresie roku dzielącego nas od śmierci Marszałka patrzeć bez różowych okularów na świat, ten musiał dostrzec w nim zmiany, zachodzące w stosunku do nas, na naszą niekorzyść. Lecz kto nie chciał poddać się żałobnemu zwątpieniu, a po męsku spojrzał prawdzie w oczy, ten umiał zdać sobie sprawę ze ścisłej współzależności, jaka istnieje pomiędzy naszą tak zw. pozycją międzynarodową i obrazem naszego narodowo-państwowego wnętrza, którego już nie chroni przed natręctwem ciekawskich sąsiadów niezawodny puklerz zwycięstwa Wodza". Być może, że wielkość postaci Marszałka, w której cieniu żyło się przecież tak spokojnie i pewnie, zaciążyła opóźniająco nad biegiem naszych wewnętrznych przeobrażeń. Faktem jest jednak, że po śmierci Marszałka zostaliśmy z mocną, przez Niego zbudowaną fasadą zewnętrzną i z wnętrzem, które nikogo z naszych sąsiadów nie mogło ani zachwycać, ani nikomu imponować. Nie stworzyliśmy obrazu polskiej, nowoczesnej rzeczywistości, zbudowanej wysiłkiem zbiorowości narodowej. Jakby teraz dopiero uprzytomniliśmy sobie — że tylko ten jeden przykład poruszę — iż jesteśmy przecież krajem, którego dominującą warstwą jest warstwa małorolnych i bezrolnych chłopów, podczas gdy dotąd jeszcze dziesiątki tysięcy i setki hektarów skupione są w rękach jednostek. A przecież państwa międzymorza, wśród których pragnęlibyśmy odgrywać rolę przodującą: Litwa, Łotwa, Estonia, Rumunia, Czechosłowacja — to państwa przeważnie chłopskie, które już dawno z pożytkiem dla siebie przekształciły swą strukturę społeczno-gospodarczą. Na tle tych państw, niezależnie od ich ustrojów — totalnych, czy demokratycznych, wyglądamy jak wstecznicy, którzy dotąd nie umieli wyzwolić się z przeszłości stanowej, otrząsnąć się raz wreszcie z tego bezmyślnego snobizmu szlacheckiego, który ciąży nad naszym życiem, nad naszą kulturą umysłową, polityczną, towarzyską. Lubimy również, tak właśnie po szlachecku, upajać się wzniosłymi doktrynami, a dotąd nie przeszliśmy etapów podstawowych, bez których o dalszych, istotniejszych etapach nie może być mowy, jeśli nie chce się narażać państwa na rewolucyjno - anarchistyczne wstrząsy.



Wielkość jednostki przesłaniała ten obraz. Uprzytomniliśmy sobie wraz z Jej śmiercią, że trzeba się zabrać do gruntownego przebudowywania naszego wewnętrznego oblicza, aby je uzdrowić, aby odzyskać tę atrakcyjność zewnętrzną, jaką posiadała Polska za życia Marszałka. Zrozumieliśmy, że tej przebudowy dokonać może tylko zbiorowy wysiłek narodu, że idzie czas, w którym nie będzie można oglądać się na jednostkę i na nią składać ciężkiego brzemienia odpowiedzialności, lecz, że brzemię to musi spaść na całą przeorganizowaną zbiorowość narodu. Krystalizująca się w społeczeństwie świadomość tej przemiany jest wyrazem zrozumienia przełomu, który przeżywamy. Wiemy już dziś, że, choć w historii narodu nie ma przerw, jedna epoka skończyła się bezpowrotnie, boć nie jesteśmy przecież narodem wybranym, którego łaskawy los obdarzać będzie nieprzerwanie wielkościami dziejowego formatu. Wiemy już dziś, że rodzi się w Polsce epoka druga, która oby dała nam dużo męskich charakterów i umysłów, dała nam największej miary mężów stanu, lecz której znamieniem musi być wielki wysiłek całej zbiorowości. I kiedy patrzymy na życie ostatniego roku, to musimy stwierdzić, że wszystkie te, zarówno odgórne, jak oddolne procesy konsolidacyjne, występujące w tak bardzo różnych odmianach, stanowią widomy, często może nawet instynktowny, często świadomy, wyraz budzącego się przekonania, że wchodzimy w nowy okres, w którym sam naród chce i będzie współdecydować o swym losie. Te procesy zwierania się różnych szeregów, często bardzo jeszcze nieudolne — jeśli nie wykoślawi ich krótkowzroczność i nieudolność — będą może kiedyś ocenione w historii, jako etap wstępny, zapowiadający nadejście epoki nowej.

Gdybyśmy łudzili się, że przyniesie ona

nam objawienie nowych prawd podstawowych, byliśmy w błędzie. W okresie gdy walczyliśmy o niepodległość trzy troski towarzyszyły zawsze naszym walkom: troska o wojsko, o rząd i przebudowę społeczną.

W odezwie, którą wydała Organizacja Młodzieży Narodowej w przededniu listopadowego przełomu jako „pierwsze dzieło rządu" określaliśmy: ochronę pracy, wypełnienie żądań ekonomicznych i kulturalnych klasy robotniczej. Rząd, w zatargu pracy z kapitałem — mówiliśmy — winien stanąć na stanowisku, że praca jest jedynym środkiem dochodu, a uspołecznienie środków produkcji leży na drodze dzisiejszej ewolucji. W sprawie włościańskiej domagaliśmy się załatwienia sprawy rolnej w Polsce drogą parcelacji wielkich własności — dobrowolnej czy przymusowej, na korzyść bezrolnych i małorolnych. Rząd, głosiły słowa naszej odezwy z 1918 r., który przeprowadzać będzie ten program, musi być wyrazem narodu — wyrazem „woli największej jego części — ludu robotniczego i włościaństwa". Lecz odcinaliśmy się zaraz jak najkategoryczniej od prób zabarwienia naszego rodzimego światopoglądu społecznego wszelkimi wpływami zewnętrznymi. Podkreślając zdecydowanie w jednym ze swych artykułów, pisanych w tym czasie postulat przebudowy społecznej, stwierdzał Stefan Szwedowski co następuje: „Musimy jednak żądać, aby przy tej przebudowie uwzględniono w dostatecznym stopniu nasze interesy i tu nie możemy osłabiać naszych aspiracji narodowych, aby zadowolnić rewolucyjną Rosję, nie możemy kierować się sympatią lub antypatią, lecz stojącym ponad wszystkim obowiązkiem wobec przyszłości własnego narodu".

Postulat przebudowy społecznej, wysuwany przez nas z całą stanowczością wraz z resztą obozu niepodległościowego, choć w różnej od innych członów tego obozu oprawie, w państwie polskim nie został zrealizowany. Realizowany był tylko formalnie, choć nawet z dużym pośpiechem. Przeszliśmy przecież przez okres liberalnej konstytucji z głosowaniem powszechnym, w zakresie ubezpieczeń społecznych możemy „poszczycić się dużymi zdobyczami" i t. d., lecz czy te formalne zdobycze oznaczają, iż Polska dzisiejsza jest Polską o jaką żeśmy walczyli, o jaką walczył chłop i robotnik polski, o jakiej marzył w „Słowie o Bandosie" i publikacjach powojennych Stefan Żeromski — Polska „jednego ludu"? Czyż nie oddaliliśmy się raczej w latach ostatnich jeszcze bardziej od tych naszych żołnierskich ideałów? Czyż jeśli chodzi zwłaszcza o naszą psychikę społeczną nie jesteśmy wciąż narodem wsteczników, których nawet nie można porównywać z hitlerowskimi Niemcami, czy faszystowskimi Włochami?

Zatrzymuję się dłużej nad tym postulatem z tamtej epoki, gdyż nie stracił on nic ze swej aktualności, przeciwnie, domaga się rozwiązania i musi w nowej epoce, która się zacznie, stanowić zagadnienie naczelne. Hasło przebudowy naszej struktury społecznej i gospodarczej musi być jej dominującym tonem. Żeby to czuć i rozumieć nie trzeba być wyznawcą żadnej doktryny, trzeba tylko zdać sobie z tego sprawę, iż ani ustrój kapitalistyczny, ani formalne zdobycze demokratyczne, nie zwiążą masy naszego narodu z ideą narodu i odrodzonego państwa. Masa ta może cierpieć, lecz musi wiedzieć, że „z jej trudu i znoju" powstanie lepsza Polska. Planowa przebudowa naszej struktury społecznej i gospodarczej zdecyduje dopiero o automatycznym rozwiązywaniu szeregu tak zw. palących kwestii, m. i. kwestii żydowskiej. Będzie ona wówczas wraz z emigracją ludności żydowskiej rozwiązana automatycznie, tak jak rozwiązały ją kiedyś państwa skandynawskie, jak rozwiązują ją dziś państwa bałtyckie, to zn. z wykluczeniem wszystkich aspektów deprawujących duszę narodu. Istniejąca w Polsce i naprawdę paląca kwestia żydowska musi znaleźć swe uwzględnienie w pozytywnym programie przebudowy naszej struktury społeczno-gospodarczej.

To ostatnie zagadnienie jest tak ważne, że od jego rozwiązania zależą dwie inne sprawy, które w minionej epoce widziały w postaci haseł naczelnych na naszych sztandarach niepodległościowych: zagadnienie rządu i wojska.

Zagadnienie rządu — to w dzisiejszej terminologii — zagadnienie ustroju. Konstytucja kwietniowa jest, jak każda konstytucja, ustawą ramową ,w którą wlać można treść bardzo różną. Wystarczyło „dorobić" do niej istniejącą ordynację wyborczą i wprowadzić ją „odpowiednio" w życie, aby prawda ta wystąpiła w całej pełni. Dezorganizacja i dezorientacja rozbitych sił społecznych i politycznych doprowadziła do wytworzenia się stanu, w którym trudno jest mówić o jakiejś formie ustrojowej, raczej można mówić o braku jej. Ustrój dzisiejszy nie jest ani ustrojem faszystowskim, ani dyktatorskim, ani policyjnym. Zresztą nie potrzebuje być żadnym z tych ustrojów, lecz musi być jakimś ustrojem, a tym lepiej będzie, im będzie bardziej polskim.

Cechą tego polskiego ustroju winno być zsyntetyzowanie dwóch elementów, które nazwałbym, odgórnym i oddolnym. W naszej sytuacji geopolitycznej inaczej być nie może. Nie możemy być rządzeni zgóry: policyjnie lub po dyktatorsku, bo taki system rządów opóźnia palący proces wychowawczo - narodowy uobywatelniania mas, oddala masę społeczną od państwa. Nieoczekiwany kryzys „góry" w takim systemie mógłby grozić państwu nieobliczalnymi konsekwencjami. Nie możemy być również rządzeni zdołu, według zasad parlamentarnego liberalizmu, bo to czyniłoby nas, jako państwo, słabszymi wobec potężnych sąsiadów kierowanych jednolitą sprawną wolą.

Elementy odgórne muszą w tym naszym polskim ustroju odgrywać rolę czynnika, który czuwa nad zdrowiem i siłą armii, zapewnia ciągłość naszej polityki zagranicznej, strzeże konstytucyjnego porządku rzeczy, ma prawo interweniować w każdej chwili, gdy porządek ten mógłby być zachwiany, zapewnia większą szybkość i sprawność zrealizowania jednolitej woli kierowanej w państwie w momentach decydujących. Winny one stale współpracować z drugim elementem — oddolnym, skupionym w jednym wielkim obozie społeczno - politycznym, którego podłoże stanowiłyby organizacje społeczne pojęte w skali bardzo szerokiej, poczynając od zawodowych, a kończąc na wychowawczych czy kulturalnych. Obóz ten, który nie wykluczałby w drodze nakazu istnienia obok niego innych organizacji politycznych, o ile miałyby zdolność trwania, pod względem struktury wewnętrznej nie przypominałby zupełnie monopartyjnych wzorów sowieckich, włoskich czy niemieckich. Doły społeczne miałyby w nim swobodę głosu i udział we wpływie na wybór ośrodków kierowniczych. W tak pomyślanym obozie mógłby wreszcie dokonywać się proces wychowywania mas społecznych, mógłby wypracowywać się wielki plan przebudowy naszej struktury społecznej, gospodarczej i politycznej. Byłyby więc dwa centra siły politycznej: odgórne (prezydent i rząd) i oddolne, powstałe z zorganizowanej zbiorowości, które, koordynując stale swe wysiłki, zapewniałyby planowy, normalny bieg spraw państwowych. Obóz polityczny nie byłby instrumentem demagogii, lecz szkołą wychowania obywatelskiego, przez którą muszą przejść masy naszego narodu. Zachowanie własnej osobowości członków obozu winno stać się podstawowym, twórczym czynnikiem właściwie pojętej konsolidacji. Gdy Marszałek Piłsudski w jednym ze swoich przemówień stwierdzał: *„chcę zgody i jedności"*, to zaraz potem mówił: *„Podstawą takiej zgody może być tylko praca, nie żądająca od nikogo wyrzeczenia się swej indywidualności, wyrzeczenia się swoich myśli. Rzetelna zgoda i jedność oparta być może jedynie na współpracy"*.

Jeżeli mamy ambicję wytworzenia jakiegoś własnego, polskiego ustroju, odpowiadającego naszym tradycjom, właściwościom psychicznym a jednocześnie liczącego się z naszym położeniem geograficznym, to zarysy jego będą zapewne tak wyglądały, jak je tutaj szkicuję. Ani dyktatorski totalizm, ani demokracja starego, przedwojennego, liberalnego stylu! W imię dobra i przyszłości Polski musimy walczyć o inną demokrację — „mocnego człowieka, dobrego obywatela i dzielnego żołnierza".

Jeżeli po tej drodze kroczyć będziemy w nowej epoce, w którą wchodzimy, będziemy mogli z takim samym spokojem patrzeć na naszą armię, jak to było za życia Wielkiego Marszałka. Albowiem sam sentyment okazywany armii przy różnych okazjach nie wystarczy. Armia — to żywe odbicie narodu. Przemiany, które w nim zachodzą, odbijają się na jej fizjonomii. Im głębiej iść będzie nurt uobywatelnienia mas, tym zwartsze będą jej szeregi. Tradycja imienia Wielkiego Wodza, talenty

dzisiejszego Wodza, żołnierz, syn świadomego obywatela — oto elementy, które zadecydują nie tylko, jak się to dziś mówi, o „obronnej" postawie naszej armii, lecz o jej postawie zdobywczej. Z chwilą odzyskania niepodległości państwowej weszliśmy w okres, w którym nabraliśmy nałogu obronności. Ta wiecznie obronna postawa może zrodzić w naszej psychice niebezpieczne kompleksy. Otóż cechą nowej epoki musi być również nawrót do postawy zdobywczej, jaka charakteryzowała nasze pokolenie w dobie walk o niepodległość. Bo tylko taka postawa, bo tylko stawianie sobie przed oczyma wciąż nowych zagadnień, ten permanentny stan czynnego napięcia — słowem to, czego uczył swym życiem Józef Piłsudski — winno być znamieniem nowej, rozpoczynającej się epoki. Tylko bowiem stan czynny podnosi człowieka do twórczości.

Nasz związek skupia w swych szeregach liczny zastęp ludzi rozsianych po całym terenie Rzeczypospolitej, zastęp, który zarówno w dobie walk o Niepodległość, jak w pierwszej epoce naszego odrodzenia państwowego, miał zawsze do otaczającej go rzeczywistości polskiej stosunek czynny, krytycznie — twórczy, a nie bierny. To było nam wszystkim wspólne, mimo różnic, które nie od dziś i nie od wczoraj wśród nas występowały. Ten ustawicznie czynny stosunek naszego zespołu do otaczającej nas rzeczywistości, przywiązanie do drogich nam tradycji organizacyjnych, poszanowanie wzajemne w pracy na wielu bardzo różnorodnych odcinkach naszego życia społecznego i państwowego, uczyniły z nas może jeden z nielicznych zespołów tego rodzaju w Polsce. Zespół nasz jednakże, jako całość, nie zawsze, niestety, był w stosunku do sił, jakie reprezentuje, dostatecznie aktywny.

Taki stan musimy zapisać do bezpowrotnej przeszłości. Organizacja senioracka musi się uaktywnić, jeśli nie chce pozostać wyłącznie zespołem historyczno - wspominkowym. Na takie zespoły nie ma dziś miejsca — w epoce, którą zaczynamy, a która musi wreszcie zamknąć okres, zapoczątkowany przez Sejm Czteroletni — okres wprowadzania do narodu jego znakomitej większości, która — według wyrażenia Mochnackiego — *„niejako za granicą narodu zostawała"*.

Melchior Wańkowicz

Ognisko siły — C. O. P. 3)

Baczność Hreczkosieje — plantujemy kauczuk... *)

Zabawne, jak szybko niektóre pojęcia rosną wraz z nami. Pamiętam, jak na loterii fantowej na rzecz pogotowia w Saskim ogrodzie zademonstrowano kino i tłum rzucił się do ucieczki, bo na ekranie cwałował wprost na publiczność w pełnym galopie beczkowóz straży ogniowej. Pamiętam, jak w Krakowie przerwaliśmy posiedzenie i rzuciliśmy się do okna oglądać jadący samochód. Jak do Warszawy przyjechał Legagneu czy coś w tym rodzaju i zdołał kilkanaście kilometrów przeskoczyć aeroplanem, nie tykając ziemi. Jak, już po wojnie, na jakiejś wystawie w Agrykoli demonstrowano bezskutecznie radio i usiłowano wmówić w pełną sceptycyzmu publiczność, że gdyby nie niesprzyjające warunki atmosferyczne, to udałoby się coś posłyszeć.

Coś takiego było z kauczukiem. Zresztą kto tam słyszał o takiej nazwie. Z gumą... Służyła do podwiązek, wyrabiano z niej piłki, a nadewszystko kalosze i poczciwe Kowieńczuki nawet nie bardzo wiedziały, czy się mówi „gumowy", czy „gumniany".

Kalosze jednak, zwłaszcza „Treugolnik", były w wielkiej estymie, to też kiedy brat Czesław zakupił plantację kauczuku w Afryce, wmawialiśmy poczciwej Alince, vulgo „małpiej jagodzie" (patrz „Szczenięce Lata"), że Cześ kupił sad kauczukowy, to znaczy takie drzewa, na których dojrzewają kalosze. Nie należy się dziwić małpiej jagodzie, skoro jeden z sąsiadów dał się przekonać, że makaron we Włoszech na polach rośnie. Co tam Kowieńczuki: pewne pismo stołeczne po moim powrocie z Kuby ogłosiło ze mną wywiad pod soczystym podtytułem: „zrywał ananasy wprost z grzędy".

Od czasu tych plantacji kaloszowych ciekaw byłem kauczuku — jak to zawsze bywa z tematem, który dziecinną wyobraźnię uderzy. Tego kauczuku było w końcu coraz więcej i wreszcie do tego doszło, że bez kauczuku ruszyć się nigdzie nie można. W dosłownym nawet tego słowa znaczeniu. To też jego światowe zapotrzebowanie wzrosło z 60.000 ton w 1910 r. do miliona ton rocznie.

To też kiedy po raz pierwszy (było to nad jeziorem Xochimilco w Meksyku) zobaczyłem strzeliste pnie HEVEI, drzewa kauczukodajnego, ślinka mi pociekła na te kaloszowe drzewa, gdzieś tam zatracone w Afryce, w spuściznie bratowej.

Aż dopiero dowiedziałem się, teraz, w Okręgu Centralnym, że „całkiem pojedyńczo" będziemy sobie kalosze hodowali z poczciwych pyr, vulgo ziemniaków, vulgo kartofli, flanzy dawno spolonizowanej.

Tego dziwa dokonał chemiczny Instytut Badawczy w Warszawie, w którym pod kierunkiem inżyniera Wacława Szukiewicza opracowano metodę produkowania kauczuku sztucznego ze spirytusu.

Teraz w Dębicy, tam gdzie jest państwowa przetwórnia wyrobów mięsnych, o której piszemy niżej, powstaje fabryka sztucznego kauczuku, która na kilku hektarach fabrycznego terenu fabrykować będzie takie ilości, jakie można otrzymać na plantacjach obszaru tysięcy hektarów.

Fabryka powstaje połączonymi siłami krajowej fabryki opon „Stomil" i Zrzeszenia Producentów Spirytusu. Do wyboru Dębicy przyczynił się fakt, że przez nią przechodzi linia gazociągu i linia elektryczna wysokiego napięcia, o których niżej.

Fabryka będzie korzystała wyłącznie z polskich metod produkcji i obejdzie się zupełnie bez technicznej pomocy zagranicznej, jak również wszystkie maszyny i urządzenia będą wyprodukowane w kraju.

Sam Pan Bóg zbudował gazownię w Okręgu Centralnym

Przed kilku laty przejeżdżałem Stryjem i zauważyłem, że wszystkie latarnie w biały dzień, w słoneczne południe się palą.

— Upił się gaziarz, który gasi latarnie? — spytałem domyślnie.

Zainterpelowany Stryjowianin machnął pogardliwie ręką:

— Komu by się tam chciało gasić. Przecie darmo...

Miał rację. Przecież sama nafta nie tak dawno dopiero „weszła na tapetę", a gaz ziemny był używany omal nie do samej wojny jako opał na miejscu przez przemysł naftowy, a ponieważ zapotrzebowanie przemysłu nie było duże, więc ogromne ilości gazu wypuszczano w powietrze. Dopiero w 1912 roku domyślono się przeprowadzić kilka lokalnych gazociągów, ogólnej długości 26 kilometrów.

Rząd Polski, rządzony przez ludzi, którzy w wielkiej części wyrośli na tęsknotach Szczepanowskiego, już w 1919 roku utworzył Zarząd Gazociągów Państwowych. Do 1923 r. zbudowano w okręgu Jasielskim około 180 klm. gazociągów.

W 1923 r. odkryto bogate w gaz ziemny złoża Daszawy. Wówczas właśnie zga-

*) Ciąg dalszy — patrz „N. i P." nr. 44, 45/6.

zyfikowano Stryj, Drohobycz, Morszyn i Lwów. Ale pomimo tak energicznej akcji, gaz ziemny nie przestawał być jedynie lokalnym źródłem ciepła i energii.

Tymczasem zrozumiano, że gaz można stosować do napędu motorów, w przemyśle hutniczym, gdzie jest szczególnie cenny dla termicznej obróbki metali (pozwala utrzymywać i regulować odpowiednią temperaturę). Już się mówi, że w czasie wojny będzie go można zastosować do napędu aut. Już się bąka, że może stać się bardzo cennym surowcem chemicznym (Mościce już dziś go używają w zastępstwie gazu wodnego przy produkcji amoniaku). Że już nie to oświetlanie Stryja w biały dzień, jak przed kilku laty, ale spalanie gazu pod kotłami zamiast miału węglowego jest karygodnym marnotrawstwem.

Te przesłanki, jak również dominująca troska — wyzwolić się z zależności jedynie od zagłębia węglowego, stworzyć kilka źródeł energii — zdecydowały o budowie gazociągu Jasło-Pionki z odgałęzieniami, zaopatrującymi w gaz już istniejące i dopiero tworzące się ośrodki przemysłowe w Centralnym Okręgu Przemysłowym. W tym roku poprowadzono 200 klm. gazociągu, doprowadzającego gaz do Ostrowca, Starachowic i Skarżyska. W roku następnym będą dobudowane rozgałęzienia.

Jadąc kilometrami, widzimy jak z boku drogi biegnie, niekończącą się nigdy linią niezakopany jeszcze w ziemi rurociąg. Potem nagle chwytamy w jednym miejscu jak go chowają pod ziemię na głębokość 1 mtr. 30 ctm.

Kosztuje, bo kosztuje: 10,200,000 zł. Ale skoro Bóg już pod ziemią zainwestował gazownię, która sama pod ciśnieniem daje gaz, rozchodzący się samorzutnie — grzech by było poskąpić środków na jego doprowadzenie.

Fabryka celulozy w Niedomicach

Oglądałem w tym roku spustoszenia, jakie poczyniono już po wojnie w gospodarstwie leśnym w Polsce. Widziałem zdewastowaną puszczę Wiszniewską, Baksztańską, Nalibocką, pnie w nich zwalone i zmurszałe, z których wycinano tylko strzałę, młodzież leśną, nie sięgającą lat trzydziestu, wycinaną bezlitośnie, rąbania na wysokości piersi. Jeśli to wszystko już należy do przeszłości, to bynajmniej do przeszłości nie należy to, że drzewo eksportujemy w stanie nieobrobionym, że np., mając doskonale zainstalowane fabryki dykty, sprzedajemy obcym dyktowe drzewo, zamiast gotowego towaru.

Do fabryki celulozy popłynie potok kresowych świerków, 100,000 metrów sześciennych papierówki będziemy przerabiać na tak wartościowy produkt, jak sztuczny jedwab. I nie tylko jedwab: nasze wyroby bawełniane i wełniane będą zawierać 25% sztucznego włókna, które dadzą Niedomice, co proporcjonalnie zmniejszy import bawełny o 50 milionów.

Najważniejsze jednak, to nie przeróbka drzewa i nie wyrób materiałów, a uodpornienie kraju przez to, że nie będziemy potrzebowali sprowadzać podstawowego surowca służącego celom obrony — bawełny strzelniczej, którą zastąpi celuloza specjalnie spreparowana.

Fabryka w Niedomicach jest zaprojektowana na wydajność dzienną 30 do 60 ton celulozy. Będzie zatrudniała 50 urzędników i 300 robotników. Poczęto ją budować z wyłącznych funduszów Państwowej Wytwórni Prochu w „Pionkach" w lipcu 1935 r. Koszt jej wynosi 11 milionów złotych. Fabryka ruszyła w listopadzie 1937 r.

I ta fabryka, jak wszystkie inne w Okręgu Centralnym, ma doprowadzony gazociąg (będzie zużywać 12 milionów metrów sześć. gazu) i ona będzie się karmić produktami, wydobywanymi na terenie Okręgu: pirytem, chlorem, wapnem palonym, kamieniem wapiennym.

I koło niej, jak koło innych fabryk, została zbudowana kolonia robotnicza ze świetlicą, ambulatorium, stołówką i łaźnią.

I kiedy widzę, jak potężne machiny chwytają w swoje miażdżące objęcia drzewo i tęgie bale wychodzą pocięte i pomiażdżone na drobniutkie drzazgi, myślę o straszliwie rozrzutnej gospodarce pokoleń i odczuwam wdzięczność dla zabiegliwej ręki, która gospodarować poczyna w polskim gospodarstwie.

Jak się staje C. O. P.

Po całodziennym zwiedzaniu terenu Okręgu Centralnego siedzimy w kasynie w Mościcach. Do nich pierwszych przyjechaliśmy z Warszawy. Do nich wróciliśmy na noc.

Jest to jedyny obiekt, który tu, na terenie okręgu, nie wyrósł z pod ziemi i nagle, jest to jedyny obiekt, który ma tutaj zapisane lata pracy, został bowiem dźwignięty w 1928 r. Weteran...

Z okolicznych wsi, gdy dojeżdżamy, spływa sznur robotników na rowerach. Nabycie rowerów ułatwia fabryka. Trzy ich zmiany pracują w ciągu doby, bo zatrzymanie fabryki kosztowałoby sto tysięcy złotych. Więc ku Mościcom i od Mościc faluje ciągły wachlarz rowerów.

Siedzimy — w sztabie tego ciągłego ruchu. Właśnie zwiedziliśmy zakłady — to potężne pięcie się do Boga, bo jakże inaczej nazwać geniusz ludzki, który produkuje z powietrza i wody materię stałą, z której na polach rośnie nowe życie. Bóg to robi na korzonkach roślin motylkowych, w uśmiechu dnia letniego. Człowiek musi na to przejść sam siebie, spiętrzyć groźny świat maszyn. Widzieliśmy, wysokie, wielkie, 6 metrów w podstawie, 17 metrów wysokości — dziesięć wież Prezydenta Mościckiego, które stężają kwas. W pustej hali wznoszą się jak kolosy widmowe.

Jak sen o precyzji niedosięgłej, jak cud baśniowy, oglądaliśmy dziesięć utleniaczy o siatkach z platyny, 3600 oczek na centymetrze kwadratowym, nitka grubości 0,06 m/m. Te utleniacze kosztują milion złotych.

Jak stalagmity stoją zastępy chłodnic kwasowych.

Z wody i powietrza się wytwarza saletrę!...

Wody by nie starczyło w rzece, wypompowano by cały Dunajec. Więc gruba baszta w podwórcu, w którą tłoczą powietrze od dołu, regeneruje tę wodę. Mimo to bierze się jej 1300 metrów na godzinę.

W szronie wiecznym stoją kompresory. W nastawioną stągiew leje robotnik z potwornego termosa mrożone powietrze. Powietrze gotuje się jak woda. Ktoś wkłada w „ukrop" dalię i wyjmuje zesztywniały kwiat jak z Karlsbadzkiego szprudla; ktoś inny wsuwa miękką rurkę gumową i wydobywa zesztywniały zamarzły pręt, który się łamie...

Ogromne hale mają nielicznych robotników, którzy snują się w cieniu maszyn. Maszyny te biegną pod strop, rozwidlają się w galerie, biegnące w przestrzeń, w stopnie, w poręcze, w koła napędowe.

Przed takim masywem rur, a tym razem nazywa się to chłodnia — woda w jej środku biegnie spłoszonym tabunem, jak zwierzęta w rzeźni, które wola ludzka i nieubłagany konwojer pędzi do puszki bekonowej, tu woda pędzi do tego, by wykrystalizować się, zawrzeć w worki i pojechać jako sztuczny nawóz w świat — pod tą chłodnią usiłuję się dowiedzieć, jak też to jest zbudowane, na jakich zasadach.

Młody inżynier uchyla się grzecznie — bez zezwolenia Dyrekcji informacji szczegółowszych udzielać nie może...

Młody inżynier. Wszędzie się on pojawia. Kiedy zwiedzamy fabrykę celulozy, fabrykę celulozy w Niedomicach, która stanęła w ciągu pół roku, dyrektor naczelny prezentuje nam gromadkę młodych chłopców:

— Inżynier X...
— Inżynier Y...
— Inżynier Z...

To oni „psim swędem" i chłopczyńskim pomyśleniem wynaleźli rudę u Boronia, u Armaty wytropili siedemdziesięciokilometrowy pas eocenu. To oni rozwinęli na łęgach nad Koprzywnicą swój sztandar. To oni na zboczach Rożnowa brną przez usypiska, przeskakują przez rzeki cementu, jadą na wagonetkach kolejki, to oni w zakładach Południowych, w zakładach Cegielskiego, w zakładach budowy motorów lotniczych, w zakładach sztucznego kauczuku zalegają w lampach jasnych białe pola rajsbretów, kalkulują, budują, tworzą...

Wychodzimy z nimi z hal Mościckich,

przechodzimy pod jakimś ogromnym talerzem, wirującym u podstawy wieży. To wieża granulacyjna, w której spada na dół na ruchomą podstawę gęsty gorący roztwór saletry wapniowej. Spadają krople na ruchomą podłogę, wirówka rozpyla, zgartują noże, przez oś ruchomej podstawy pędzi zimne powietrze.

Stanęliśmy, zziajani wrażeniami, pod rampą kolejową. Wysokim czubem świeci czub wieży granulacyjnej. Patrzą na nią chłopaki, dołączył się jakiś majster i jeden przez drugiego gada:

Jak to przyjechały Norwegi tę wieżę stawiać. Norwegi uczone, straszliwie ważne. Mozolą się tygodnie — i nic. Nie ziarnka saletry się tworzą, a jakaś papka. Sapią, mozolą się Norwegowie — na inny skład wody trafili, niż u siebie, złapać nie mogą co jest... Patrzy nasza wiara, podgląda tę robotę, co raz to przychodzą do min. Kwiatkowskiego i mówią:

— Oni są głupie, te Norwegi. Oni źle robią.

Jak się skończył Norwegom kontrakt, Jezu Maryja!... Jak już można było tknąć tej roboty — jak się kopnie polski inżynier, a majstrowie. Nabrali apetytu, patrząc zdaleka na tę robotę. W dwie doby uruchomili wieżę granulacyjną.

Odetchnął wódz, minister Kwiatkowski. On w Warszawie oczyma świecić musiał. Co go spytają z zagranicy, z kraju, czy saletra będzie, to mówi: „Będzie na czas!" A tu dni mijają, Norwegi dłubią i dłubią. Znowu go pytają, to znowu mówi: „Będzie na czas!"

Coby było, jakby nie było, bo te syndykaty wierzyły i nie porobiły zamówień.

A tu nagle chłopcy lecą, czapkami machają:

— Jest, cholera, jest!... Działa jak ta lala:

Milkną. Z nocnego mroku biją młode, pełne energii głosy. Jeden mówi:

— Pojęcia nie macie jaki to morowy chłop, ten nasz stary. Innym ministrom jak trzeba referat pisać, to dyrektor każe pisać „krótko i popularnie". A ten to wszystko sam przeczyta, suwak inżynierski obliczeniowy weźmie i woła referenta: „Dlaczego to tak?"

— Chodźmy do składów — rzuca któryś.

— Chodźmy do składów — podchwytują. Jeszcze nie rozumiem, czemu to słowo „skład" tak elektryzuje. Po tych cudach techniki? Złożone pod ścianą worki?

Skład ma ćwierć kilometra długości. Jest w nim pusto. Ze specjalnie uroczystemi minami pokazują tę pustość. Przecie to nie tak dawno piętrzył się wór na worze, czekała ziemia, nie miał za co rolnik kupić. Krzyczała cała Polska, że Chorzów i Mościce, to gospodarka bez kalkulacji, to przerost etatyzmu, to zamrożone pieniądze.

Młodzi inżynierkowie liczyli, że kilogram nawozu kosztuje tyle co kilogram ziarna, a zwiększa plon o cztery kilogramy. Czuli siłę uwielokrotnić plony i patrzyli jak energia życiodajna zalega w worach i wysłuchiwali sarabandy krzyków.

Kiedy przyszła powódź 1934 r., już tylko dziesięciu centymetrów brakowało, aby woda nie zalała magazynów. Zmobilizowali ochronę dzień i noc. Wyratowali. Wyratowali swoją troskę i swoje strapienie, swoją „hańbę".

„Stary" dodawał im otuchy i obiecywał:

— Zobaczycie, że te składy kiedyś się opróżnią i wówczas wyprawię wam bal.

— No i co? — krzyczą mi niemal w ucho. Ruszyła Polska, sypnęły się zamówienia, z placu rwano na wiosnę złożony towar.

Minister Kwiatkowski dotrzymał obietnicy. Stanęły długie stoły, przyszły robotniki wszystkie, od majstra do placowego, wszystkie inżyniery, wszystkie techniki, wszystkie ich żony i ciotki. Cieszył się i radował lud mościcki, tańcował na pohybel kryzysowi, na szczęście tej Polsce, która bujnie porośnie, na szczęście temu Chorzowowi, tym Mościcom, które są zamałe, zamałe...

Z A M A Ł E! — zdaje się krzyczeć tu wszystko. Wyżej, dalej, prędzej!

Siadł sobie w kasynie w Mościcach gospodarz tej oto gospodarki, twórca Gdyni, Eugeniusz Kwiatkowski. Siadł sobie i ugwarza o tym, jak to tu na początku było. Ma tę prostotę ludzi, których obchodzi robota, którzy dużo tej roboty zrobili, więcej chcą zrobić i którzy wierzą, że każdy z kim mówią coś umie robić i do czegoś im pomoże.

d. n.

St. A. Groniowski

6 listopada r. 1918

3)

Wiec uniwersytecki odbywał się pod gołym niebem, na tylnym dziedzińcu, za pałacem Kazimierzowskim. Obecnych było około 2.000, a więc blisko połowa ogółu studentów*). Na wniosek Konfederacji Ogólno - Akademickiej przewodniczącym obrany został słuchacz medycyny Ryszard Wanke, wiceprezes „Bratniej Pomocy", sympatyk Organizacji Młodzieży Narodowej. Przewodniczył stojąc na stole. Stół służył również za mównicę.

Na wiecu odrazu ujawnił się nastrój apolityczny, czysto wojskowy. Przemówienia przedstawicieli ugrupowań ideowych przyjmowano okrzykami, wyrażającymi niecierpliwość i niechęć względem podnoszenia spraw politycznych, manifestując te uczucia zwłaszcza w stosunku do tych ustępów wniosku pięciu grup, które oznaczały chwilowe odroczenie wstąpienia do wojska. Poszczególne te okrzyki nie zakłócały jednak biegu obrad. Wrzawa, zwiastująca nadciągającą burzę, wszczęła się dopiero w czasie przemówienia Stanisława Sachsa, który w imieniu Młodzieży Socjalistycznej Niezależnej zadeklarował wstąpienie do wojska, ale oświadczył się przeciw przymusowi i przeciw zamykaniu uczelni.

Oświadczenia akademickich przedstawicieli partyj międzynarodowego socjalizmu: antypatriotycznej, idącej w ogonie bolszewizmu Socjal - Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy oraz P. P. S.-Lewicy, oddawna staczającej się w tym samym kierunku, i niewiele już różniącej się od S. D. K. P. i L., nazywające armię polską narzędziem burżuazji i reakcji i wypowiadające się przeciw wstępowaniu do niej, rozpętały prawdziwą burzę. Gdy zaś na zaimprowizowanej trybunie zjawił się przedstawiciel narodowej młodzieży żydowskiej, próbując oświadczyć, że jego odłam spełni obowiązek wobec Ojczyzny, aczkolwiek wyraża ubolewanie, że pominięto go w organizowaniu akcji wojskowej — burza wzrosła, gdyż słuchacze Polacy spodziewali się, że mówca chce również przemawiać przeciwko wstępowaniu do wojska i w czasie hałasu nie słyszeli, że przemawiał wręcz przeciwnie.

Odtąd tumult już nie ustawał. Przygodni mówcy wstępowali na trybunę. Nikogo z nich nie było już słychać poza najbliższym sąsiedztwem prezydium. Ze zbitej masy akademickiej padały najpierw pojedyńcze, potem coraz tłumniejsze i coraz bardziej natarczywe okrzyki, żądające przerwania obrad i natychmiastowego wstępowania do wojska. Rej wodzili w tym „ludzie z tłumu", samorzutni przedstawiciele wzburzonego patriotyzmu masy akademickiej, która w tej gorącej chwili przestała rozumieć jakiekolwiek względy poza jednym: natychmiastowego stworzenia armii polskiej. Na czoło wzburzonego tłumu wysunęli się byli dowborczycy, w mundurach, w charakterystycznych długich płaszczach rosyjskich, którzy od lata tego roku reprezentowali w sposób dekoracyjny wśród akademików pierwiastek wojskowy. Prezydium traciło panowanie nad wiecem. Ktoś rzucił okrzyk: kto za natychmiastowym wstępowaniem do wojska, niech przejdzie na prawo. Usłyszano go. Rozpoczęło się masowe

———

*) Na 4.500 słuchaczy było na Uniwersytecie około 1.500 wyznania mojżeszowego, t. j. blisko 1/3.

tłoczenie na prawą stronę. Prezydium przestało odgrywać jakąkolwiek rolę. Wiec zamienił się na bezładną kupę, z której wreszcie wyłoniła się na prawo od prezydium zbita masa najgorętszych zwolenników natychmiastowego wstępowania do wojska. Widoczne było, że ogromna większość jest za nimi. Ale zamęt był taki, że lada chwila wiec mógł rozpaść się, bez uchwały, bez zamknięcia wyższych uczelni. Był to rezultat najgorszy zarówno z punktu widzenia pięciu grup oraz dwóch organizacyj przeciwnych, jak i ze stanowiska patriotycznej masy akademickiej, nie objętej przez organizacje ideowe. Chodziło o to, aby jakoś doprowadzić do głosowania.

Uratowała sytuację Organizacja Młodzieży Narodowej. Z poświęceniem własnego politycznego stanowiska w sprawie wojska zaproponowała przywódcom innych grup, by zamiast skomplikowanego tekstu obydwóch wniosków dać wiecowi do wyboru dwie jasne, proste alternatywy: natychmiastowe wstąpienie do wojska, czy też oddanie się do dyspozycji przyszłego rządu ludowego. Wiedziano z góry, jaki wniosek przejdzie. Na nowego przewodniczącego wiecu Młodzież Narodowa zaproponowała Romana Wasilewskiego, członka swej organizacji z Rosji, dowborczyka, człowieka energicznego. Przywódcy przyjęli natychmiast projekt. Po chwili improwizowany przewodniczący, z rozwianymi na wietrze połami płaszcza wojskowego, stał już na stole prezydialnym i nie pytając wiecujących o zgodę na swe przewodnictwo, ogłaszał tubalnym głosem, który na chwilę zapanował nad wrzaskiem tłumu, przystąpienie do głosowania nad obydwiema alternatywami. Głosowano przez wychodzenie prawą, względnie lewą furtką na dziedziniec frontowy, przed pałacem Kazimierzowskim. Ogromna większość przeszła przez furtkę „za wojskiem", jak się wyrażali w nieścisłym skrócie zwolennicy tego wniosku. Wniosek dwóch grup stał się uchwałą wiecu.

Na Politechnice wiec odbył się na podwórcu, przy zbiegu ulic Koszykowej i Wielkiej, z udziałem przeszło 1.500 uczestników, t. j. blisko 60% ogółu słuchaczy *).

I tutaj powszechnym oburzeniem przyjęto oświadczenie przedstawiciela P.P.S.—Lewicy oraz jeszcze bardziej „soczyste" przemówienie przedstawiciela S. D. K. P. i L., który nazywał armię polską „białą gwardią", będącą „na usługach burżuazji, reakcji i paskarstwa"; prezydenta Wilsona zaś — „czarnosecinnym reakcjonistą i militarystą".

Przyjęto dwa pierwsze punkty z wniosku pięciu grup, zamiast zaś punktu trzeciego uchwalono:

„1) natychmiastowe zamknięcie wyższych uczelni, 2) wybranie Komisji Akademickiej (informacyjnej), 3) niezwłoczne — w ciągu trzech dni — wstąpienie do armii czynnej, 4) zwrócenie się do Senatu Akademickiego o przyjmowanie po otworzeniu uczelni tylko tych studentów, którzy wylegitymują się czyną służbą w armii lub wskażą świadectwo superrewizyjnej komisji".

Było to więc zasadnicze oświadczenie się za politycznymi poglądami lewicy niepodległościowej, połączone z odrzuceniem w praktyce jej odraczającego stanowiska w sprawie wojska.

Przemawiali i brali udział w głosowaniu jedynie studenci narodowości polskiej.

W Wyższej Szkole Handlowej uchwalono po ciężkiej walce wniosek pięciu grup.

W Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego uchwalono krótko i węzłowato wstąpić niezwłocznie do wojska, władze akademickie wezwać do zamknięcia uczelni.

Tak oto organizacje lewicy niepodległościowej, na czele z O. M. N., najsilniejszą wtedy z pośród akademickich organizacji ideowych, mające jeszcze w owym czasie za sobą niewątpliwie również większość całego niezorganizowanego ogółu młodzieży wszystkich warszawskich wyższych uczelni, poniosły porażkę formalną i faktyczną na Uniwersytecie i w S. G. G. W., faktyczną na Politechnice, a zwyciężyły tylko w W. S. H., obejmującej niecałe 5% ogółu akademików stolicy. Dlaczego tak się stało — to wynika, jak sądzę, z naszej ogólnej analizy nastrojów młodzieży w łączności z następującym po tym opisem nastrojów na wiecu uniwersyteckim, które były typowe również dla pozostałych wyższych uczelni. Zwycięzcami w tej walce nie byli ideowi przeciwnicy lewicy niepodległościowej, lecz niezorganizowana politycznie masa akademicka, która na Uniwersytecie i w S. G. G. W. nie chciała na wiecu wogóle słyszeć ani o polityce lewicy, ani prawicy, a na Politechnice — odwróciwszy się od lewicy w sprawie terminu wstępowania do wojska, — stwierdziła jednak, że trwa nadal przy jej ideologii politycznej, w W. S. H. zaś poszła całkowicie za lewicą. Poniekąd analogiczny wypadek zaszedł półtora roku przedtem, gdy 18 maja 1917 r. wiece uniwersytecki i politechniczny odrzuciły wniosek całej Konferencji Ogólno-Akademickiej (lewicy niepodległościowej, centrowców i zwolenników Narodowej Demokracji) o zaprzestanie strejku, wymierzonego przeciw postępowaniu niemieckich władz okupacyjnych, jaki trwał w tych obydwu uczelniach od dwóch tygodni. Wtedy również zwyciężył niezorganizowany ogół akademicki, który się zbuntował przeciwko całości przywódców politycznych młodzieży, coprawda nie bez pewnego wpływu P. O. W., dorzuconego w ostatniej chwili na szalę głosowania.

Ze względu na dyscyplinę organizacyjną nieliczni wśród zorganizowanej lewicy przeciwnicy odroczenia wstąpienia do wojska głosowali wraz z całą lewicą za wnioskiem pięciu grup. W obydwu odłamach ogółu głosującej młodzieży polskiej górowało uczucie ulgi: mieliśmy świadomość, że oto po raz ostatni dzieli nas głosowanie, wiedzieliśmy, że oto już jutro—pojutrze—wszystkich nas, „niepodległościowców", „narodowych", „postępowych" i „socjalistycznych", „centrowców" czy „endeków" — zespoli nareszcie jednaki mundur polski, zespoli nas wspólna służba w wojsku niepodległej już a do zjednoczenia zmierzającej Polski, której odbudowania szukaliśmy na różnych drogach, ale z jednaką miłością Ojczyzny.

Podczas, gdy wiecownicy uniwersyteccy, kończąc głosowanie, przechodzili jeszcze z dziedzińca tylnego na frontowy, wkraczali nań z Krakowskiego Przedmieścia uczestnicy wieców pozostałych wyższych uczelni, którzy byli już po powzięciu uchwał. Zgromadzonym słuchaczom wszystkich uczelni odczytano rezolucję uniwersytecką, a tłum stwierdził okrzykami zgodność jej z uchwałami pozostałych wieców.

Następnie udano się we wspólnym pochodzie, ósemkami, przed Zamek, celem złożenia uchwał Radzie Regencyjnej. Po drodze wznoszono okrzyki na cześć Piłsudskiego, Dyrektoriatu, armii polskiej, a przeciwko Radzie Regencyjnej, śpiewano pieśni żołnierskie, „Rotę" i „Jeszcze Polska nie zginęła". Przed Zamkiem ugrupowano się w ogromne półkole i utworzono podwójny kordon. Oczekując na powrót delegacji, wyłonionej przez Konferencję Ogólno - Akademicką, która udała się na Zamek, śpiewano „Rotę" i wznoszono w dalszym ciągu okrzyki. Delegacji oświadczono na Zamku, że członkowie Rady Regencyjnej są nieobecni. Musiała więc poprzestać na złożeniu uchwał urzędnikowi Rady. Gdy wróciła do młodzieży z tym rezultatem zgromadzeni odśpiewali raz jeszcze „Rotę", po czym rozeszli się. Był już wieczór, gdy wracano tłumnie przez Krakowskie Przedmieście, rozchodząc się powoli w boczne ulice.

Postulat, aby po otwarciu uczelni przyjmowano na nie z powrotem tylko tych słuchaczy, którzy wykażą się służbą w wojsku lub też miarodajnym zwolnieniem od tej służby, podzielany przez całą Konferencję Ogólno - Akademicką z wyjątkiem Socjalistów Niezależnych, nie został jednak zamieszczony we wnioskach organizacji ideowych, postawionych na wiecach. Dlaczego tak się stało — niepodobna dzisiaj już dociec. Prawdopodobnie nie uczyniliśmy tego wyłącznie z jakichś względów formalnych, skoro uznawaliśmy wszak treść tego postulatu. Żądanie to uchwalono tylko na wiecu politechnicznym, a w każdym razie nie uchwalono go na Uniwersytecie, ani w W. S. H. Jednakże wypowiadano je jednomyślnie na wszystkich wiecach. To też Konferencja Ogólno - Akademicka wraz z ogółem młodzieży stała zdecydowanie na tym stanowisku.

Otrzymawszy uchwały wieców akademickich, zebrały się tegoż wieczora Senaty Uniwersytetu i Politechniki. Obrady przeciągnęły się do późnej nocy. Uchwalono poniższą odezwę, którą ogłoszono nazajutrz przed południem:

„W zgodnym postanowieniu młodzieży akademickiej, aby wstąpić do wojska celem zdobycia i wywalczenia niezależnego bytu państwowego Ojczyźnie, Senaty Akademickie witają doniosły czyn patriotyczny, z którym się w całości solidaryzują. W przeświadczeniu, że młodzież akademicka, wstępując do wojska, stać będzie na straży jedności narodowej i służyć obronie zagrożonych granic Polski, Senaty Akademickie wyrażają zgodność uczuć swych z uczuciami młodzieży i postanawiają zawiesić wykłady i zajęcia".

Władze akademickie S. G. G. W. i W. S. H., solidaryzując się również z młodzieżą, tak samo zawiesiły działalność swych uczelni.

d. n.

———

*) Na Politechnice na 2.600 słuchaczy było 600 wyznania mojżeszowego, t.j. blisko ¼.

Dr. L.Ręgorowicz

Stosunki wyznaniowe i narodowościowe na Śląsku na podstawie spisu ludności

Wydany przez Główny Urząd Statystyczny spory tom, dotyczący Województwa Śląskiego, daje niezwykle ciekawy obraz stosunków ludnościowych, gospodarczych i zawodowych na Śląsku.

Niezwykle ciekawie zwłaszcza przedstawiają się na podstawie tego wydawnictwa, stosunki narodowościowe i wyznaniowe w Województwie Śląskim.

W dniu 9.XII.1931 r. miało Województwo Śląskie ogółem 1.295.027 ludności. Przypadało z tego na Polaków 1.195.633 (92,3%), na Niemców 90.545 (7%), na Żydów 6.467 (0,5%), na innych 767 w tym 267 Ukraińców, 51 Rusinów, 30 Białorusinów, 154 Rosjan, 288 Czechów, 30 Litwinów. Nie podało języka ojczystego 980 mieszkańców Śląska.

Odliczając 3228 ludności wyznania mojżeszowego, która podała język niemiecki jako ojczysty, było na terenie Województwa Śląskiego 87.317 Niemców.

Z pośród ludności polskiej 1.132.010 (94,4%) było wyznania rzymsko-katolickiego, 51.818 (4,3%) wyznania ewangelickiego, 9.144 (0,8%) mojżeszowego. Poza tym było 588 Polaków wyznania grecko-katolickiego, 289 prawosławnego, wyznawców innych wyznań chrześcijańskich było 1.198, bezwyznaniowych i innych (nie podało wyznania) 1116.

Wśród ludności niemieckiej było wyznania rzymsko - katolickiego 61.757 (68,2%), ewangelickiego 25.217 (27,8%), mojżeszowego 3.228 (3,6%). *Trzon ludności niemieckiej na Śląsku stanowi zatem ludność wyznania rzymsko - katolickiego* a nie ewangelickiego.

Na 18.938 ludności wyznania mojżeszowego język ojczysty polski podało 9.144 (48,9%), niemiecki 3.228 (17%), żydowski względnie hebrajski 6.467 (34%). Niewątpliwą osobliwością na Śląsku jest *10 Niemców wyznania grecko-katolickiego.*

418.392 (32,3%) ludności mieszkało w miastach, 876.633 (67,7%) na wsi.

W miastach stanowili Polacy wprawdzie olbrzymią większość ludności (357.620 — 85%), główną podstawę polskości na Śląsku stanowi jednak wieś (osady rolnicze i robotnicze), gdzie na 876.633 ludności jest Polaków 838.015 (95,6%).

Niemców było w miastach 53.780 (12,9), na wsi 36.765 (4,2%). *Byli zatem Niemcy na Śląsku trzy razy silniejsi w miastach niż na wsi.* Obecnie, po wygaśnięciu Konwencji Gewenwskiej i odpłynięciu części ludności niemieckiej do Niemiec, a zwłaszcza od chwili spolszczenia administracji przemysłu na Górnym Śląsku, element polski w miastach musiał wzrosnąć i niewiele różni się procentowo od jego siły na wsi. Żydzi w liczbie 5.700 stanowią 1,4% ludności wiejskiej. Na wsi mieszka wogóle 573 Żydów. Nie stanowią oni zatem nawet 0,1% ludności wiejskiej na Śląsku.

Wśród polskiej ludności w miastach było według wyznania:

rzym. - katolików	335.534 (93,8%)
ewangelików	13591 (3,8%)
wyzn. mojżeszowego	7.411 (2,1%)

Wyznanie katolickie było zatem wśród Polaków w miastach prawie równie silne, jak po wsiach.

Na 53.780 ludności niemieckiej po miastach było wyznania:

rzymsko-katolickiego	37.006 (68,8%)
ewangelickiego	13.631 (25,3%)
mojżeszowego	2.122 (5,4%)

Okazuje się więc, że w miastach na Śląsku niemal dokładnie połowa ludności wyznania ewangelickiego była w 1931 r. narodowości polskiej.

Na 838.015 ludności polskiej na wsi było wyznania:

rzymsko-katolickiego	796.476 (95,0%)
ewangelickiego	38.713 (4,6%)
mojżeszowego	1.733 (0,2%)

Na 36.765 ludności niemieckiej na wsi było wyznania:

rzymsko-katolickiego	24.751 (67,3%)
ewangelickiego	11.586 (31,5%)
mojżeszowego	306 (0,8%)

Okazuje się, że Polaków-ewangelików było na wsi w 1931 r. przeszło trzy razy więcej, niż Niemców ewangelików i że Niemcy byli prawie równie silni na wsi, jak w miastach.

Na ogólną liczbę 77.269 ludności ewangelickiej w województwie śląskim język ojczysty polski podało 51.818 (67,1%), niemiecki 25.217 (32,6%). Cyfry te niszczą legendę o niemieckości ewangelicyzmu na Śląsku.

Z pośród ogólnej liczby ewangelików wypadało na: ewangelików augsburskich 45.412, reformowanych 3.331, unijnych 21.278, bez bliższego określenia 7.248.

Z pośród 45.412 ewangelików augsburskich podało język polski jako ojczysty 34.879 (76,8%), język niemiecki jako ojczysty 10.413 (22,9%). Należy więc stwierdzić, że luteranizm na Śląsku jest wyznaniem wybitnie polskim. Na 11.762 ewangelików augsburskich w miastach podało język polski jako język ojczysty 7.166 (60,7%), język niemiecki jako język ojczysty 4.596 (39%).

Na 33.530 ewangelików augsburskich na wsi podało: język polski jako język ojczysty 27.713 (82,5%) język niemiecki jako język ojczysty 5.817 (17,3%).

Na 3.331 ewangelików reformowanych podało język polski jako ojczysty 1.797 (53,9%), język niemiecki jako ojczysty 1.509 (45,3%).

W miastach: język polski jako ojczysty 930 (47,2%), język niemiecki jako ojczysty 1.025 (52%),

na wsi: język polski jako ojczysty 867 (63,7%), język niemiecki jako ojczysty 484 (35,6%).

Na 21.278 ludności wyznania ewangelicko-unijnego podało: język polski jako ojczysty 11.224 (52,7%), język niemiecki jako ojczysty 10.011 (47%),

w miastach język polski jako ojczysty 3.563 (37%), język niemiecki jako ojczysty 6.057 (63%),

na wsi: język polski jako ojczysty 7.661 (65,9%) język niemiecki jako ojczysty 3.954 (33,7%).

Na 7.248 ludności ewangelickiej bez bliższego określenia podało język polski jako ojczysty 3.918 (54%), język niemiecki jako ojczysty 3.284 (45,4%).

w miastach: język polski 1.232 (49,4%), język niemiecki 1.953 (50%),

na wsi: język polski 1.986 (56,5%), język niemiecki 1.331 (39,9%).

Należy na koniec stwierdzić, że polska ludność wyznania ewangelickiego była bezwzględnie i procentowo, ludność niemiecka procentowo silniejsza, na wsi niż w miastach, że znaczna większość ludności ewangelickiej (67,1%) była narodowości polskiej i że procent ten musi być dzisiaj—po odpływie Niemców-ewangelików do Niemiec — jeszcze wyższy.

Z pośród trzech zasadniczych wyznań ewangelickich najsilniejszym i zarazem najbardziej polskim jest wyznanie ewangelicko-augsburskie.

Do narodowości polskiej w ramach wyznania ewangelicko-augsburskiego przyznało się 76,4%, w miastach 60,7%, na wsi 82,5%.

Wśród ewangelików reformowanych było Polaków 53,9% z tym, że po miastach stanowili oni 47,2%, po wiach 63,7%.

Posiadali Polacy większość (52,7%) nawet wśród wyznawców kościoła ewangelicko-unijnego, które zdawałoby się stanowić niezdobytą twierdzę niemieckości.

Nie ulega wątpliwości, że po odpływie Niemców ewangelików z przemysłu do Niemiec, jak też po wprowadzeniu do Krajowej Rady Kościelnej na Śląsku komisarycznego prezesa, stosunki w kościele ewangelicko-unijnym ułożą się równie pomyślnie dla polskości, jak układały się od dawna w kościele ewangelicko-augsburskim i że Polacy dojdą w nim do wpływów odpowiadających ich sile liczbowej i dokonanym ostatnio zmianom.

Natomiast mimo olbrzymiej przewagi elementu polskiego wśród wyznawców kościoła rzymsko-katolickiego na Śląsku zmieniło się tu od chwili przyłączenia Śląska do Polski niewiele.

Wśród Polaków-katolików nurtuje z tego powodu głębokie niezadowolenie. Z pewnym zażenowaniem patrzą na fakt coraz silniejszego uwydatniania się wpływów polskich nawet w kościele ewangelicko-unijnym, podczas gdy w kościele katolickim stan posiadania Niemców pozostał takim jakim był w 1922 r. a może nawet się zwiększył.

Zbigniew Domaniewski

Dwa systemy bezpieczeństwa

(Chwila przełomowa w sytuacji międzynarodowej).

Październik i listopad przyniosły nam znamienne wydarzenia polityczne. Wydarzenia te: przemówienie Roosevelta w Chicago, bezpłodne obrady gwarantów nienaruszalności terytorium Chin (konferencja brukselska), zawarcie trójporozumienia Niemiec, Włoch i Japonii i wizyta lorda Halifaxa w Niemczech, są dobrze znane. Trzeba więc scharakteryzować skolei ewolucję sytuacji międzynarodowej, jaka ujawnia się w następstwie tych faktów politycznych.

Przemówienie Roosevelta było wypowiedziane pod wrażeniem konfliktu chińsko-japońskiego. Prezydent Stanów wybrał dzień (5 października), w którym „komitet 23" dla spraw Dalekiego Wschodu przedłożył Zgromadzeniu Ligi rezolucję, stwierdzającą napaść Japonii na Chiny i zawierającą decyzję zwołania konferencji sygnatariuszów paktu 9 mocarstw z 6 lutego 1922, gwarantującego nienaruszalność Chin. Anglia, Francja, Sowiety i Chiny, opracowujące z ramienia komitetu 23 tekst rezolucji do uchwalenia przez Zgromadzenie, starały się poruszyć ligowe sumienie delegatów tych państw, które, powołując się na fiasko akcji zbiorowej w konflikcie abisyńskim, chciały powstrzymać instytycję genewską od nowego wystąpienia w obronie prawa i sprawiedliwości. Jest faktem dokładnie stwierdzonym, że przemówienie Roosevelta, potępiające notorycznych napastników i zapowiadające aktywny udział Stanów Zjednoczonych w akcji obrony pokoju, było jedynym powodem, dla którego Zgromadzenie mogło niemal jednomyślnie uchwalić rezolucję w sprawie konfliktu japońsko-chińskiego. Te państwa, które po doświadczeniach abisyńskich odnosiły się z rezerwą do idei akcji zbiorowej, wobec przełomowej, jak się wówczas zdawało, zapowiedzi Roosevelta, poddały rewizji swe antykolektywne stanowisko. Przed zbiorowym bezpieczeństwem jakby zajaśniała jutrzenka lepszego jutra.

Wystąpienie Roosevelta nie pozostało również bez wpływu na stanowisko tych 10% ludzkości cywilizowanej, które określił on jako pragnące wojny. Zapowiedziane przez Roosevelta przyłączenie się Stanów do ligowego systemu bezpieczeństwa, zaalarmowało państwa dynamiczne, Niemcy, Włochy i Japonię, których cele rozwojowe stoją w sprzeczności z traktatami chronionymi przez Ligę. Oś Berlin — Rzym funkcjonowała do tej chwili w przeświadczeniu, że oś Londyn — Paryż nie jest dość silna, aby skrępować jej dynamizm antytraktatowy. Z chwilą jednak, kiedy Waszyngton zgłosił akces do osi protraktatowej, Berlin i Rzym musiały poszukać przeciwwagi. Nasunęła się im konieczność związania bliżej z osią Berlin — Rzym trzeciego państwa dynamicznego, Japonii. Jak państwa statyczne przystąpiły do wzmocnienia systemu bezpieczeństwa swego stanu posiadania, tak państwa dynamiczne musiały stworzyć system bezpieczeństwa dla swego dynamizmu. Z przyłączeniem się Tokio do osi Berlin — Rzym powstało zbiorowe bezpieczeństwo napastnika.

Co ważniejsze, w miarę, jak od 5 października do 6 listopada formował się zdeterminowany w swym dynamizmie trójkąt Berlin — Rzym — Tokio, zaczęło się ujawniać, że prezydent Roosevelt pod wpływem niekorzystnej reakcji opinii amerykańskiej zaczyna się wycofywać ze stanowiska zajętego w Chicago. To wycofywanie się było w dodatku czymś więcej niż powrotem na dotychczasową płaszczyznę; było rozwianiem obaw Japonii, że Stany przeciwstawią się zbrojnie lub gospodarczo jej akcji w Chinach. Jeżeli dotąd istniały w pewnej mierze obawy jednych, nadzieje drugich, że Stany przeciwstawią się mimo ustawy o neutralności burzeniu dotychczasowego porządku politycznego świata, to po wystąpieniu i odwrocie Roosevelta okazało się po nad wszelką wątpliwość, że napastnicy nie potrzebują się obawiać Stanów dziś. Ponieważ jutro opinia amerykańska może inaczej ustosunkować się do aktów gwałcenia prawa narodów, więc dla państw dynamicznych wypłynął prosty wniosek: działać póki czas.

Trójkąt Berlin — Rzym — Tokio był niewątpliwie zaprojektowany pod wrażeniem ogólnego przekonania, że Stany Zjednoczone zachwieją istniejącą równowagę sił na korzyść państw statycznych. Natomiast zrealizowano ten trójkąt w świadomości, że dzięki niemu conajmniej w zakresie siły decyzji przewaga będzie po stronie państw dynamicznych. Wystąpienie Roosevelta, budząc nadzieje i rychło sprawiając zawód państwom statycznym, wydało jako owoce: kompromitujące fiasko konferencji brukselskiej, zwołanej w fazie nadziei, odbytej w fazie zawodu, — oraz realizację antytraktatowego trójporozumienia, zainicjowanego w fazie obawy, zrealizowanego w fazie ośmielenia poczucia bezkarności państw dynamicznych.

W ten sposób system zbiorowego bezpieczeństwa państw statycznych przeżył chwilę nadziei na lepszą przyszłość i nagle wpadł w tym większą bezwładność, gdy nadzieja ta okazała się płonna. Wzamian za to utworzył się groźny system zbiorowego bezpieczeństwa państw dynamicznych, państw zdeterminowanych łamać istniejące dziś traktaty.

Konsekwencje daleko-wschodnie

Brukselskie załamanie się systemu zbiorowego bezpieczeństwa państw statycznych może okazać się faktem o doniosłości historycznej. Gorzkie rozczarowanie, jakie Chiny przeżyły w Brukseli, nie pozostanie pewnie bez wpływu na ich politykę zagraniczną. Chiny zrozumiały ostatecznie, że oczekiwana przez nie pomoc Anglii i Stanów Zjednoczonych jest iluzją. Od takiego rozjaśnienia — które było dla Chin gwałtownym wstrząsem — do idei: proktektorat sowiecki, przejście jest zarówno psychologicznie, jak politycznie łatwe. Tymbardziej, że już od dawna szereg wybitnych polityków chińskich skłania się ku ideologicznemu i politycznemu związaniu Chin z Sowietami. Fiasko brukselskie, rozwiewające ostatnie złudzenia Chin co do zbiorowego bezpieczeństwa państw statycznych, może więc spowodować, jako bezpośrednią konsekwencję, podział Chin na strefy wpływów sowieckich i japońskich.

Taki przebieg konfliktu na Dalekim Wschodzie byłby dla Europy wręcz tragiczny. Niezależnie od tego, w jakim stopniu zwyciężyłaby Japonia, a w jakim Chiny z Sowietami — Europa zostałaby w Chinach pokonana. Nie należy zapominać haseł, pod jakimi zaczął się pierwszy okres stosunków chińsko - sowieckich. W latach 1919 i 1920 Sowiety wystosowały do narodu chińskiego głośne wówczas odezwy, wzywające Chiny do wspólnej walki z imperializmem Zachodu. Omotany przez Joffego ojciec rewolucji chińskiej, doktór Sun-Yat-Sen, odezwał się na kongresie panazjatyckim w Tokio w roku 1924, że „Rosja zrywa swe więzy rodzinne z Zachodem i staje po stronie Azjatów". Choć ten okres polityki sowieckiej w Chinach skończył się w roku 1927 wielkim fiaskiem, można oczekiwać, że jeśli tylko powstaną sprzyjające okoliczności, Sowiety odgrzebią stare hasła. Są one w każdym razie nadal wyrazem sowieckich dążeń. Jednym słowem Sowiety i Japonia to dwaj rywale w walce o panowanie nad Azją. Jeden rywal — Azjata — bierze do pomocy ideę azjatycką: Azja dla Azjatów! Drugi — przedstawiciel Zachodu — chcąc zespolić się z Azjatami, posługuje się ideą ponadnarodową i ponadrasową, — komunizmem. Obaj zaś jednakowo myślą o całkowitym wyrugowaniu z Azji mocarstw europejskich i Stanów Zjednoczonych.

Ewolucja w kierunku związania się walczących Chin z Sowietami paraliżowana jest w dużej mierze przez Niemcy i Włochy. Agresywne nastawienie tych państw w stosunku do Sowietów zwiększa kolosalnie ryzyko wmieszania się Sowietów w konflikt japońsko-chiński. Nadzieje, jakie Chiny pokładają dziś w Sowietach, mogą zawieść, tak samo jak nadzieje na pomoc anglo - amerykańsko - francuską. W takiej sytuacji byłoby dla Chin jedynym wyjściem zwrócenie się o pomoc do tych mocarstw, na których dziś Japonii zależy, to znaczy do Niemiec i Włoch. Szczególnie Niemcy powołane są do odegrania roli mediatora na Dalekim Wschodzie. Stosunki ich z Japonią były jaknajlepsze już dawno przed zawarciem porozumienia antykomunistycznego (czego nie można powiedzieć o Włochach), a nadto nikt inny, jak niemieccy oficerowie, wyszkolili armię

chińską. Poparcie, jakiego udzielają dziś poczynaniom Japonii w Chinach Niemcy i Włochy, nie jest wyrazem roli, jakie pragną one odegrać w Azji Wschodniej. Dla osi Berlin — Rzym Japonja jest taranem, który uderza w anglosaskie, francuskie i sowieckie pozycje. Dość czytać uważnie zglajchszaltowaną prasę niemiecką, by nabrać przekonania iż w Berlinie nikt nie wierzy w rozbicie Chin przez Japonię, natomiast oczekuje się wyrugowania z Chin francuskich i anglosaskich bussinesmannów oraz agentów sowieckich.

Niemcom i Włochom, niezależnie od ich taktycznej, chwilowej współpracy politycznej z Japonią, zależy na utrzymaniu niezależności Chin, choćby okrojonych o północne prowincje, o które Japonii tak bardzo chodzi. Z chwilą więc, gdyby Chiny zdecydowały się zrezygnować z tych prowincji (co jest bardzo prawdopodobne), a chciały ocalić swój ruch odrodzeniowy i zjednoczeniowy w reszcie kraju, to mogłyby szukać pomocy nie w Moskwie, lecz w Berlinie i Rzymie. Japonia jest dziś w tak wielkim stopniu uzależniona w działaniach swych na Dalekim Wschodzie od systemu zbiorowego bezpieczeństwa państw dynamicznych, że przy udaniu się Chin pod opiekę niemiecko-włoską musiałaby zredukować swe zamiary w Chinach do rozmiarów, określonych w Berlinie i Rzymie. Pośrednictwo niemiecko-włoskie, czy tylko niemieckie, w konflikcie na Dalekim Wschodzie, jest objektywnie możliwe. Pogłoski, jakie się na ten temat pojawiły, nie są pozbawione podstaw. Oczywiście gdyby się sprawdziły, zapowiadałoby to przejście Chin z antyjapońskiej płaszczyzny bliskiej łączności z Amerykanami, Anglikami, Francuzami i Sowietami na płaszczyznę trwałego pokoju z Japonią i bliskiej łączności z Niemcami i Włochami. Nikt nie zaprzeczy, że dla cywilizacji zachodniej jako całości takie rozwiązanie byłoby bez porównania lepsze niż przejście Chin na podwórko sowieckie. W każdym jednak razie oznaczałoby przełomową, historyczną zmianę w układzie światowych spraw politycznych*).

Konsekwencje dyskredytacji bezpieczeństwa zbiorowego państw statycznych nie powinny w każdym razie mieć na Dalekim Wschodzie następstw groźnych dla pokoju świata. Ewentualne wmieszanie się Niemiec i Włoch w charakterze mediatorów w konflikt japońsko-chiński powinno przejść bez wstrząsów. Jedynym znakiem zapytania pozostają Sowiety. Jednak wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że fiasko brukselskie i jego ogólne następstwa uświadomiły Sowiety o ryzyku ewentualnego konfliktu zbrojnego z Japonią. Można się raczej spodziewać, że Sowiety udzielą Chinom pomocy w formie podobnej, jak to czyniły pomagając Hiszpanii czerwonej.

Perspektywy europejskie

Inaczej natomiast mogą rozwinąć się konsekwencje dyskredytacji systemu bezpieczeństwa państw statycznych, a wzmożenia siły systemu zbiorowego bezpieczeństwa państw dynamicznych, na płaszczyźnie spraw europejskich. Rozmowa lorda Halifaxa z kanclerzem Hitlerem wykazała, że Niemcy z nieugiętą siłą domagają się zwrotu kolonij, a sprawę Anschlussu i autonomii terytorialnej Niemców sudeckich traktują jako konieczność narodową niemiecką i w konsekwencji jako konieczność europejską.

Po wizycie lorda Halifaxa usłyszeliśmy z ust kanclerza Rzeszy, przemawiającego 21 listopada w Augsburgu, co następuje: „Świat będzie musiał pewnego dnia rozważyć nasze żądania. Nie wątpię ani na sekundę, że jak dźwignęliśmy — o ile możności— swój naród wewnątrz kraju, tak i nazewnątrz stworzone nam będą takie prawa do życia, jakie mają inne narody... Mam przekonanie, że najcięższe prace przygotowawcze zostały już wykonane. Gdy cała partia a z nią cały naród stoi za swym kierownictwem, to kierownictwo to, opierając się na zjednoczonej sile narodu 68 milionowego, a w ostateczności na sile zbrojnej, będzie mogło skutecznie bronić interesów narodu i równie skutecznie wypełnić stojące przed nim zadania". Zadania te i interesy dobrze znamy: wszystkie godzą w stan posiadania innych państw europejskich. Wszystkie są groźbą dla pokoju.

W słowach tych Hitler otwarcie i brutalnie odsłonił metodę, jakiej chwyciły się Niemcy i Włochy: metodę straszenia wojną, celem skłonienia przeciwników politycznych do ustępstw, metodę politycznego szantażu. Wszystko wskazuje na to, że Anglia i Francja liczą się z groźbą wojenną państw dynamicznych jako groźbą realną. Otóż wojna w dzisiejszych warunkach jest nawet dla przypuszczalnego zwycięzcy wielką niewiadomą. Zwycięstwo militarne może być dziś katastrofą gospodarczą i społeczną, może nawet dla różnych nieprzewidzianych powodów zachwiać egzystencją narodu. W dzisiejszych warunkach wojowania nie jest łatwo decydować się na wojnę temu, co ma wiele do stracenia i to „wiele" może stracić nawet w razie zwycięstwa. Natomiast Niemcy, w sytuacji w jakiej się obecnie znajdują, nie mają wiele do stracenia. W Niemczech rozbudzone są nadto dwie siły, które zawsze zamieniały ludzi w napastników: niedostatek i fanatyzm. We Włoszech fanatyzm panuje z niemniejszą siłą, a niedostatek również daje się odczuwać. Czy można więc od tych ładunków dynamitu politycznego, od sfanatyzowanych narodów, którym codzień pokazuje się Anglię, Francję i ich sojuszników jako bogaczy, odmawiających dóbr materialnych i politycznych Niemcom i Włochom, czy można od tych 115 milionów opartych o potężne armie oczekiwać, że przyjmą z rezygnacją od Anglii i Francji same tylko „nie!": „Nie dostaniecie kolonij, nie pozwolimy na rozbiór Czechosłowacji i Anchluss, nie damy wam kredytów bez uprzednich rezygnacji politycznych"? Taka całkowita rezygnacja wydaje się nam niemożliwa. Z drugiej strony nie wydaje się nam prawdopodobne, żeby Anglia i Francja chciały ryzykować wojnę i odrzuciły *en bloc* dzisiejsze żądania Niemiec i Włoch? Każdy targ zaczyna się od maksymalnej ceny żądanej, a minimalnej ofiarowywanej. Jeśli tylko istnieje obustronna chęć, tranzakcja dochodzi do skutku. Najlepszy interes robi ten, kto ma najsilniejsze nerwy i najlepiej wyczuwa granice ustępstw partnera targu. Po obradach londyńskich Anglia i Francja odpowiedziały Hitlerowi: „pragniemy zachowania w Europie Środkowej spokoju", godzimy się na „wyrównanie kolonialne" w ramach „układu ogólnego". Ale co ma oznaczać ten układ ogólny? Sądzimy że... wyraz chęci Anglii i Francji, aby tranzakcja z Niemcami w sprawie Europy Środkowej doszła do skutku. Tymbardziej, że „zachowanie spokoju" nie koniecznie oznacza zachowanie politycznego *status quo*.

Jeśli tranzakcja istotnie dojdzie do skutku, to nastąpi ciekawy proces polityczno-międzynarodowy: demontowanie dzisiejszych konstrukcji międzynarodowych o wyglądzie agresywnym i nieagresywnym. Z chwilą, gdy „pokonani" z roku 1919 i „nie posiadający" z roku 1937 osiągną w dostatecznej części swe rozwojowe cele, wówczas stracą rację bytu instytucje bezpieczeństwa i dynamity polityczne, obmyślone w tych latach dla obrony lub szantażu.

Ponieważ te instytucje i systemy bezpieczeństwa lub szantażu składają się na trzon konstelacji międynarodowej, więc można się spodziewać w niej przełomowych zmian w razie dojścia do porozumienia między państwami statycznymi i dynamicznymi. Wówczas okaże się taksamo, który system był lepszy: zbiorowe bezpieczeństwo państw zachowawczych, państw „miłujących pokój", czy zbiorowe bezpieczeństwo „potencjalnych napastników".

Niniejszy przegląd sytuacji międzynarodowej jest w pewnej mierze gubieniem się w przypuszczeniach. Ale co innego robi w tej chwili publicystyka na całym świecie? Chwila obecna znajduje się pod znakiem podróży „wywiadowcy", lorda Halifaxa, do Niemiec. Przed miesiącem jeszcze projekt porozumienia między Anglią i Francją a Niemcami mógł wydać się nieprawdopodobny. Istniejący wówczas stan rzeczy był w każdym razie od tego daleki. Niechaj więc to będzie przykładem, że obecnie ważne jest nie to, co juz jest, tylko to, co ma szanse stać się jutro. Jest to stan rzeczy właściwy chwili przełomowej.

*) W dniu łamania numeru prasa polska ogłosiła komunikat P.A.T. o artykule, który się ukazał 1 b. m. w *Popolo d'Italia*, prawdopodobnie pióra Mussoliniego. Artykuł omawia konferencję brukselską oraz sytuację na Dalekim Wschodzie. Autor artykułu w *Popolo d'Italia* stwierdza, że „udział przedstawiciela Stanów Zjednoczonych w konferencji państw europejskich, mającej na celu akcję zbiorową, wzbudził wiele nadziei, które się jednak nie spełniły. Norman Davis napewno jest dziś przekonany, że nie należy zwoływać konferencji, których zbędność jest oczywista". W dalszym ciągu czytamy w *Popolo d'Italia*, że „gdyby Chiny miały jeszcze jakąkolwiek nadzieję na pomoc akcji zbiorowej i zdałyby się na nią oznaczałoby to, że postanowiły popełnić samobójstwo. Chinom nie pozostaje nic innego, jak zwrócenie się do Japonii o warunki pokoju. Być może warunki te będą mniej ciężkie, niżby można było przypuszczać".

Artykuł ten nie ma na celu oczywiście niczego innego jak danie Chinom i całemu światu do zrozumienia, że Mussolini gotów jest się postarać, aby Chiny nie spotkały się ze strony Japonii ze „zbyt ciężkimi warunkami pokoju", gdyby zwróciły się do Rzymu o pośrednictwo pokojowe.

Adres Redakcji i Administracji
Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20.

ŻYCIE ORGANIZACYJNE

Doroczny Zjazd Związku Seniorów O. M. N. i Z. P. M. D.

Dnia 28 listopada r. b. odbył się w Warszawie przy udziale około 200 delegatów i gości doroczny Zjazd Seniorów dawnej Organizacji Młodzieży Narodowej oraz Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Na przewodniczącego Zjazdu powołano p. Stanisława Paprockiego z Warszawy, do Prezydium weszli pp.: Zdzisław Lechnicki (Lublin), Gustaw Zieliński (Warszawa), Joachim Namysł (Lwów), Jan Litwiniuk (Poznań), Franciszek Bocheński (Wilno), Wacław Szyszkowski (Warszawa).

Zjazd rozpoczęto oddaniem hołdu pamięci Zmarłych w ubiegłym okresie członków Związku. Referaty wygłosili: kol. Tadeusz Katelbach na temat „Na przełomie dwóch epok", oraz kol. Janusz Rakowski na temat „Problemat przebudowy gospodarczej Polski". Oba te referaty przyjęte były z dużym zadowoleniem przez zebranych. Pierwszy z nich drukujemy w całości w bieżącym numerze, drugi — zaopatrzony licznymi tablicami i wykresami — podany będzie również w całości — w następnym numerze naszego pisma.

Po referatach wywiązała się obszerna dyskusja na temat ogólnej sytuacji wewnętrznej w Polsce, w której zabierali głos: Wacław Dunin (Warszawa), Bartłomiej Bojanowski (woj. warszawskie), Stefan Kapuściński (Śląsk), Ludomir Skórewicz (Warszawa), Wiesław Domaniewski (Warszawa), Kielski (Warszawa). Władysław Sieroszewski (Warszawa), Feliks Widy (Poznań), Ludwik Bujalski (Warszawa), Józef Kucharski (Warszawa), Stanisław Tazbir (Warszawa), Witold Czerwiński (Warszawa), Kazimierz Zakrzewski (Warszawa). Dyskusja cała nosiła charakter wybitnie rzeczowy i wykazywała dużą zgodność ocen politycznego i społecznego położenia Polski. W czasie dyskusji postanowiono wysłać depesze do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, Marszałka Śmigłego, Prezesa Rady Ministrów oraz do chorego sen. Prezesa Stanisława Bukowieckiego.

Następnie wygłoszono referaty sprawozdawcze. Żywszą dyskusję wywołał referat sprawozdawczy przedstawiciela Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej, kol. Zenona Szlapczyńskiego. W dyskusji tej zabierali głos kol. Żeleźniak (Lublin), Świechowski (Radom), Szwedowski (Warszawa), Peszczyński (woj. warszawskie), Kosiński (Warszawa), Wrona (Warszawa). W wyniku dyskusji jednogłośnie przyjęty był wniosek zalecający wszystkim środowiskom Związku Seniorów „nawiązanie bliskiej współpracy i udzielanie najdalej idącej pomocy poszczególnym kołom Z. P. M. D." oraz zawierający szereg technicznych wskazań co do sposobu zacieśnienia wzajemnego kontaktu pomiędzy Związkiem Seniorów i Z. P. M. D. (urządzanie wspólnych zebrań dyskusyjnych, wyłonienie w poszczególnych środowiskach specjalnych komisji dla spraw młodzieży itp.). Ze spraw innych pewną dyskusję wywołał również referat kol. Grażyny Szmurłowej na temat Organizacji Pracy Seniorek, po którym postanowiono powołać komisję Kobiecą przy Zarządzie Związku Seniorów.

Po referatach sprawozdawczych i przyjęciu sprawozdania Komisji Rewizyjnej przystąpiono do powołania nowych władz Związku. W wyniku wyborów do Zarządu Głównego Związku wybrano kol. i kol.: z Warszawy: Budkiewicza, Gorzkowskiego, Jastrzębowską, Katelbacha, Niepokoyczycką, Niwińskiego, Piskorskiego, Szwedowskiego, Wójcickiego; z prowincji: Bartoszczyka (Gdynia), Litwiniukową (Poznań), Strawińskiego (Lublin), Wojciechowskiego (Śląsk). Do Rady Naczelnej kol. i kol.: z Warszawy: Stanisława Bukowieckiego, Brenneisenową, Groniowskiego, Malowieskiego, Paprockiego, Szymanowskiego, Zakrzewskiego, Zielińskiego; z prowincji: Bocheńskiego (Wilno), Horodeńskiego (Kraków), Konkiewicza (Poznań), Lechnickiego (Lublin). Do Komisji Rewizyjnej kol. i kol.: Doboszyńskiego, Lubecką, Podwińskiego, Świętochowskiego, Szyskowskiego — wszystkich z Warszawy oraz do Sądu Koleżeńskiego: Ambroziewicza, Bujalskiego, Leśniewskiego, Nowicką, Skąpskiego — również wszystkich z Warszawy.

Zjazd zakończono w nastroju dużego i powszechnego zadowolenia z charakteru i przebiegu obrad. Po Zjeździe odbyło się Zebranie Towarzyskie, w którym wzięli udział niemal wszyscy uczestnicy i goście Zjazdu.

Na marginesie

WIZYTA DELBOSA

Wizyta ministra Delbosa w Warszawie jest naturalnym przejawem serdecznych i sojuszniczych więzów, łączących Polskę i Francję. Pod względem formalnym minister spraw zagranicznych Francji rewizytuje min. Becka. Jednak w chwili obecnej, kiedy na płaszczyźnie spraw międzynarodowych przygotowują się doniosłe wydarzenia, kontakt kierowników polityki zagranicznej dwóch państw zaprzyjaźnionych i związanych więzami sojuszniczymi wychodzi daleko poza ramy protokularne. Będzie to narada.

Minister Delbos przyjeżdża do Warszawy w trzy dni po niezmiernie ważnych obradach, jakie wespół z przemierem Chautempsem prowadził w Londynie z ministrami angielskimi. Rozmowy warszawskie będą się więc toczyły na gruncie uzgodnionego stanowiska Anglii i Francji w sprawie problemów polityki europejskiej, w pierwszym rzędzie w sprawie zagadnienia ewentualnego nowego paktu zachodniego. Z punktu widzenia tego ostatniego zagadnienia wizyta min. Delbosa ma specjalną wymowę. Zamyka bowiem ewolucję, jaka dokonała się od czasu podpisania traktatu lokarneńskiego, t. zn. od grudnia 1925 do dziś.

Traktat lokarneński postawił Polskę na marginesie, jako państwo, zajmujące wówczas w Europie stanowisko bierne i skutkiem tego nie zdolne do brania udziału w międzynarodowych aktach stabilizacji stosunków politycznych. Przede wszystkim zaś polskie granice zachodnie uznawano za oczekujące na rewizję, a tym samym skazane na pozostanie poza szczegółowymi systemami gwarancyjnymi. Z chwilą gdy Francja zawarła w Locarno umowę z Niemcami o wyrzeczeniu się wojny, w Polsce odczuto to jako pozostawienie nas własnym siłom. Przekonanie takie było słuszne, bo warunki, w jakich po Locarno mógł funkcjonować nasz sojusz z Francją — uchwalenie przez Ligę sankcyj militarnych — odbierały pomocy francuskiej większą część jej potencjalnej wartości. Polska nie miała innej drogi, jak lukę w ten sposób w Locarno powstałą, wypełnić innym aktem, uzupełniającym bezpieczeństwo jej na Zachodzie. Takim aktem miała być umowa z Niemcami z 26 stycznia 1934: umowa o nieagresji, jednak z zastrzeżeniem zbrojnej pomocy Polski dla Francji na wypadek zaatakowania jej przez Niemcy.

Ciekawa rzecz. Umowa ta niemile zaskoczyła Francję. Widocznie nastawienie ówczesnej polityki francuskiej nie było w stosunku do Niemiec zbyt pokojowe. W innym wypadku pakt nieagresji między Polską a Niemcami wzbudziłby zadowolenie naszej sojuszniczki. Przecież otrzymała ona w ten sposób pewność, że nie będzie potrzebowała przez dłuższy okres czasu obawiać się o Polskę, której, w razie napaści Niemiec, musiałaby spieszyć z pomocą. Reakcja Francji na umowę Polski z Niemcami była psychologicznie niezmiernie ciekawa: była typową dezorientacją. Wyraziła się ona szczególnie w dniu wypowiedzenia przez Niemcy traktatu lokarneńskiego, gdy ambasador francuski, w kilka godzin po pamiętnym oświadczeniu Hitlera, zapytywał min. Becka czy Polska bronić będzie Francji, gdyby Niemcy sprowokowały wojnę. Dziwne zapytanie pod adresem sojusznika! W dniu tym odwróciły się koleje losu. Z upadkiem Locarna Francja pozbawiona została gwarancji, że nie ulegnie napaści ze strony Niemiec, Polska natomiast miała deklarację niemiecką, obowiązującą do stycznia 1944. Jeżeli po podpisaniu paktu reńskiego Francja musiała rozważać ewentualność niesienia pomocy sojuszniczce, sama zaś czuła się wolna od groźby niemieckiej, to po obaleniu paktu reńskiego w położeniu takim znalazła się Polska. Jeśli więc po pakcie reńskim mogły się odezwać we Francji głosy, że między Francją a Polską istnieje dysproporcja obciążeń sojuszniczych, to dziś moglibyśmy o formalnej stronie powiedzieć to samo.

W porównaniu z sytuacją w czasie kiedy odbywały się negocjacje lokarneńskie, nasze położenie międzynarodowe zmieniło się nie do poznania. W Locarno gwaranci granicy reńskiej — Anglia i Włochy — wobec grożącej ciągle wojny między Polską a Niemcami przeciwstawiali się kategorycznie usiłowaniom Francji wymienienia w pakcie pomocy zbrojnej dla Polski jako wyjątku od wyrzeczenia się wojny z Niemcami. W Locarno dyskutowano

pod wrażeniem przekonania, że prędzej czy później Niemcy upomną się z bronią w ręku o korytarz. Anglia i Włochy nie chciały być ze sprawami tymi związane inaczej jak za pośrednictwem Ligi Narodów. Teraz zaś Niemcy stale podkreślają, że nie myślą o zbrojnym załatwianiu ewentualnych sporów z Polską. Ryzyko, wynikające z wiązania się z zagadnieniem bezpieczeństwa zachodniej granicy Polski jest bez porównania mniejsze. Następstwa tego są widoczne. Rok temu, w trakcie wizyty min. Becka w Londynie, minister Eden mógł stwierdzić w komunikacie oficjalnym, że przy rokowaniach o nowy pakt zachodni powinna być znaleziona formuła, uwzględniająca interesy Polski. W ten sam mniej więcej sposób wyraził się min. Ciano, wygłaszając na wiosnę b. r. exposé w Parlamencie faszystowskim. Zmiana jest olbrzymia.

Kiedy więc min. Delbos i Beck zaczną w Warszawie rozmowy na temat możliwych rokowań mocarstw zachodnich z Niemcami, nie będą mieli przed sobą zachmurzonego horyzontu. Z drugiej strony istnieją między Polską i Francją sprawy jeszcze nie zupełnie uzgodnione, jak np. współpraca na terenie polityki dunajskiej. Biorąc pod uwagę okoliczność, że min. Delbos udaje się wprost z Warszawy do Bukaresztu, Białogrodu i Pragi, odnosi się wrażenie, że problemy dunajskie zajmą w rozmowach obu ministrów poważne, jeśli nie najważniejsze miejsce.

KOŁO O. Z. N.

Dnia 29 listopada r. b. dokonał się fakt niewątpliwie dużej doniosłości politycznej — zostało zawiązane Koło posłów i senatorów, członków Obozu Zjednoczenia Narodowego w Parlamencie.

Fakt jest doniosły, zarówno bezpośrednią wagą, jak też jako zerwanie z tezą, że Parlament źródła swej siły może szukać w oderwaniu się od nurtów politycznego życia społeczeństwa, w swej — w samym zestawieniu tych słów tkwi paradoks — swoistej niejako apolityczności.

Koło jest liczne, posiada większość w Sejmie. Zjawisko to byłoby dodatnie, gdyby nie pewna wątpliwość, której trudno się oprzeć.

W jednej z powieści Żeromskiego przytoczona jest historyjka o felietonie Mariana Bohusza z roku 1891. Felieton ten wywołany był negatywnym stanowiskiem prasy warszawskiej w stosunku do przygotowującej się manifestacji w setną rocznicę uchwalenia Konstytucji 3-go maja. Opowiadał o tym, jak do kogoś, wybierającego się do Ameryki i poszukującego towarzysów podróży, przyszedł po nocy pewien pan, by zakomunikować mu, iż on nie tylko się do Ameryki nie wybiera, lecz wybierającym się jechać zabrania.

W dzisiejszej liczebności Koła Ozonu w Sejmie jest zapewne podobne zjawisko. Przypuszczać należy, że spora część tych, którzy na okręt Koła O. Z. N. załadowali się z mniejszym, czy większym entuzjazmem, poprostu nigdzie się nie wybiera, a załadowanie zaryzykowała, licząc, że ostatecznie i innym nigdzie dopłynąć nie pozwoli.

Jak będzie ostatecznie i co się kiedyś stanie? — Sztuka prorocza przeważnie jest jedną z najbardziej bezpłodnych. Najnaturalniejszym wyjściem, oczywiście o ile sama podróż traktuje się serio, musiałaby być chyba pewna selekcja załadowanych w pierwszej chwili pasażerów i ustalenie ostateczne takiego tylko kompletu, który by zdolny był nietylko do ruszenia z miejsca, lecz — co więcej — do jazdy w mniej więcej wspólnym kierunku. Czy tak się stanie? — Zobaczymy!

PLANOWANIE I AKCJA

W jednym z ostatnich numerów „Gazety Polskiej" Bogusław Miedziński przypomina, że Marszałka Piłsudskiego „zawsze niesłychanie gniewała ogromna r o z p i ę t o ś ć w c z a s i e, która zachodzi w Polsce między p o w s z e c h n y m z r o z u m i e n i e m pewnej konieczności, a gotowością do j e j r e a l i z a c j i... Nasza znakomita bystrość w procesach myślenia przeradza się w równie znakomitą krnąbrność, opieszałość i bezwład, gdy od aktów i n t e l e k t u a l n y c h trzeba przejść do aktów w o l i, do d z i a ł a n i a".

Temat przypomniany i poruszony przez redaktora naczelnego „Gazety Polskiej" jest nadzwyczaj ważny, należy do zagadnień charakteru narodu. Chodzi w danym wypadku o te cechy charakterystyczne, które się odzwierciadlają w roli, jaką odgrywają w życiu planowanie i akcja. Ich wzajemne ustosunkowanie się bywa u różnych narodów i różnych indywidualności różne. Weźmy parę przykładów. U Hiszpanów akcja jest pierwotną, podświadomą potrzebą. Gdy się rozwinie i nabierze siły, szuka sobie planu; akcja p o p r z e d z a plan. Francuz stwarza plan jako kanon i stara się go w toku akcji uparcie dochować; akcja i d z i e z a planem. U Anglików one w s p ó ł i s t n i e j ą. Wyrazem tego jest fakt nie istnienia p i s a n e j konstytucji angielskiej. Konstytucja angielska i ustrój Commonwealth — to samo życie polityczne kraju, życie, w którym plan i akcja wzajemnie się przenikają, a więc, w którym akcja nie może podlegać schematom. Ciekawym przykładem charakteru politycznego jest „Mein Kampf". Mamy tu program, filozofię i krytykę, zmieszane z obrazami akcji; t e j akcji, w miarę której rozwoju powstaje ów plan, owa filozofia, owa krytyka i które znów, w miarę jak powstają, ze swej strony wywierają wpływ na akcję.

W polskim życiu politycznym dominują procesy myślenia, planowania. Ale procesy te, w których wykazujemy „znakomitą bystrość", nie znajdują się w żadnym ustosunkowaniu do akcji, skutkiem czego tak trudno u nas o ustabilizowaną d z i a ł a l n o ś ć. N a s i l u d z i e c z y n u zazwyczaj nie są zdolni, ani samemu stworzyć, ani też podporządkować się jakiemuś planowi. Po drugiej stronie linii demarkacyjnej stoją u nas d o k t r y n e r z y. Od nich nie może wyjść nic takiego, co pobudzi społeczeństwo do akcji. Myślenie doktrynera rozwija się w stanie samotności zewnętrznej, podczas gdy myślenie ludzi, zdolnych pobudzić do akcji, jest zawsze produktem b e z p o ś r e d n i e g o k o n t a k t u z życiem. Myśliciele, jeśli są zdolni wzbudzić czyn, są ludźmi życia, ludźmi ulicy. Są oni opryskani błotem i oświetleni słońcem, oddychają zgnilizną zaułków i aromatem pól — natomiast obca im jest atmosfera klubów filozoficznych. Nakoniec takich ludzi, u których by występowało harmonijne w s p ó ł i s t n i e n i e planowania i akcji, jest u nas bardzo mało. Ogół bezpłodnie o s c y l u j e m i ę d z y akcją i planowaniem.

Stwierdzenie to nie powinno wywołać wniosków defetystycznych. Społeczeństwa, jak i jednostki, posiadają pewne wrodzone cechy charakteru. Wzamian za to w jeszcze większym stopniu niż u jednostki można kształtować charakter społeczeństwa. Każdy charakter wymaga szkoły. Jeżeli spojrzymy z tego punktu widzenia na dzieło życiowe Piłsudskiego, to zobaczymy w nim wszystko bez wyjątku przepojone troską o wychowanie oddanego jego kierownictwu narodu. Dziś tę szkołę Wielkiego Marszałka sami musimy kontynuować.

WAŻNE KRYTERIUM

Oświadczenie gen. Knolla, że burdy, wywołane w Poznaniu w czasie defilady listopadowej przez czynniki spod sztandaru Stronnictwa Narodowego, są o b r a z ą a r m i i p o l s k i e j, zwraca uwagę naszych „narodowców" na pewne ważne kryterium. Stronnictwo Narodowe powstrzymało swą młodzież od maszerowania wespół z armią. Jednak stronnictwo „narodowe", nie mogło nie zaakcentować — w s ł o w a c h, jakie czytało się na łamach pism — że armię szanuje i kocha. W c z y n a c h „ludność narodowego Poznania — jak pisze Warszawski Dziennik Narodowy — wiedziona zdrowym instynktem", skorzystała z uroczystości wojskowej, aby rozegrać warcholską scenę zacietrzewionego partyjnictwa. Burda jest normalną metodą naszych „narodowców". Ale tym razem burda dotknęła, już nie poraz pierwszy, wojska i w ten sposób Stronnictwo Narodowe mogło się dowiedzieć, że burda jest o b r a z ą. Jak wiemy, użycie tego kryterium obrazy stało się dla Stronnictwa Narodowego rewelacją.

Sądzimy, że Stronnictwo Narodowe wyciągnie z nauki, danej mu przez gen. Knolla, dalsze wnioski. Z nich na pierwszym planie Stronnictwo Narodowe postawi zapewne ten, że burda, użyta jako środek na usługach akcji czy reakcji politycznej, lub użyta w roli sygnału, którym chce się obudzić uwagę narodu — jest tego narodu o b r a z ą. Niestety, naród, jako nadrzędna całość, nie może przemówić do ludności kraju i jak armia powiedzieć jak odczuwa stosunek do niego grup ludności. Gdyby tak było, nasze czynniki „narodowe" mogły by się dowiedzieć, że ich działalność z pod znaku burdy, pałki i kastetu jest łańcuchem zorganizowanych obraz narodu polskiego.

FRASZKI

ODMŁODZENIE

(1.) Wszyscy dziś „odmłodzenie" wysławiają górnie:
Na miejsce starych durniów — przyjdą młodzi durnie.

PRZYSŁOWIE

(x.) W matematyce ścisły, w rządzeniu wytrawny,
Dziś głównie z wypowiedzi i odwołań sławny.
Będzie ojcem przysłowia, zgodnie z czasu prądem:
„Nie warto słuchać: mówi jak Bartel przed sądem!"

PLAGIATY

(x.) Każdy dziś plagiatorem: pisarz, woźny, aktor.
Pierwszy, bo w artykule użył słowa „traktor".
Drugi — jak laureat — mówi „znaktem tego",
Trzeci, bo chciał w swej roli udać gest Solskiego...
Lecz kiedy spraw tych taki już stworzył się zator,
Dziś największym plagiatem sam zarzut: „plagiator!".

„WACHLARZ".

(x.) Stworzono wreszcie „wachlarz". Od lewa do prawa
Sejm cały się wachlarzem jednym wielkim stawa.
Bardzo pięknie... Lecz każda z dam poświadczy rada,
Wachlarz zbyt wielki zwykle łatwo się rozpada.

ZDJĘCIA MIGAWKOWE

Polska w cyrku

Drukujemy wrażenia jednej z młodocianych uczestniczek wiecu w cyrku na Ordynackiej, urządzonego przez O. N. R. w dniu 28 listopada.

Redakcja.

Zielone opaski, pobłyskujące w półcieniu białymi mieczykami, wskazują sprawnie i grzecznie przejście.

— Na dole już wszystkie miejsca zajęte, proszę pani. Proszę na górę. —

Koło rozczochranej dziewczyny z gołą głową, sprzedającej „Falangę", przechodzimy na górę, ścigani znanymi już wierszami „falangistów".

„Już ostatnie w Polsce sygnały,
Żeby wszystkie żydy na latarniach wisiały!" —

„Nie kupuj u żyda, to jedyna rada,
Kto kupuje u żyda sam siebie okrada!"

Wtem zatrzymujemy się w zdumieniu. Na ten dzień uroczysty, dzień wiecu „Falangi" w Cyrku, ułożyli widocznie poeci oenerowscy specjalne, nowe, wyjątkowe poezje. Ochrypły głos dziewczyny wywrzaskuje coś, dotąd nieznanego. Słuchamy:

„Świnia, osioł i krowa,
To żydowska głowa..."

I znów da capo, zatraciwszy świeżość i oryginalność nowości.

Miłe to, swojskie i w ucho łatwo wpadające...

Siedzę na balkonie. Koło mnie w przejściu grupa zielonych opasek. Między nimi szary płaszcz, obandażowana ręka, demonstracyjny papieros w zębach, czapka uczniowska z niebieską obwódką. — Czapka, dymiąc ostentacyjnie z „Popularnego", mówi wskazując na obandażowaną rękę:

— Złamana. To przy blokadzie Uniwerku! Hi! hi! — Zdjęli-ci mnie, powiadam wam, akurat, jakem siedział na takim wielkim wazonie. Anim się opatrzył fotografia była! A teraz bić nie mogę!

Szmer uznania naokoło. Nowoprzybyli patrzą na arenę. Na szarym piasku bieli się godło O. N. R. podkreślone białym półkolem elektownego napisu: — Życie i śmierć dla Narodu!"— W muszli, gdzie zwykle gra wychodzącym na arenę orkiestra, zainstalowano trybunę wiecową. Po dwóch stronach zielone płachty: Falanga! Falanga! — Nad trybuną zwisa zielona wstęga i biało-czerwona chorągiew jak baldachim.

11.45. — Po wielkim sklepieniu sali roznoszą, rozwrzaskują megafony rozkazujący głos. To Bolesław Piasecki.

— Wszystko ma się odbyć spokojnie. Odpowiedzialność za porządek spoczywa na Straży Porządkowej — (zielone opaski prężą się dumnie) — Głos ma kol. Olgierd Szpakowski.

W półmroku gmachu jest jedna jaśniejsza plama: trybuna. Staje na niej mówca, leader — Szpakowski. Mówi. Przekonywująco, namiętnie, demagogicznie. Że Wielka Polska, że ruch narodowo - radykalny, że nasz wódz Bolesław Piasecki, że w przeddzień wielkiego przełomu... — Po każdym zdaniu tłum klaszcze. — Aha! Już się nauczyłam. — Łatwo jest mówić na takim wiecu. Gdy mówcy braknie wątku, woła namiętnym głosem: „W przeddzień wielkiego przełomu, w przeddzień zwycięstwa ruchu narodowo-radykalnego, w przeddzień..." — Brawo! Brawo! Brawo! — Mówca zbiera myśli:

— Koledzy zebraliśmy się tutaj, nie po to, żeby mówić frazesami!!! Obóz narodowo - radykalny... —

Niech żyje! Niech żyje! Brawo! Brawo!

— Głos ma kol. Wojciech Kwasieborski. Z tub megafonów płynie równy, spokojny, miły, inteligentny głos. Mówi płynnie bez frazesów, bez namiętnych uniesień, opowiada o nieprawdziwym, a uznawanym pseudopodziale Polski na sanację i opozycję.

— Ale tak, jak sanacja nie jest jednolita, tylko dzieli się na szereg grup, kolejno dochodzących do władzy, walczących ze sobą, tak niejednolita jest także t. zw. opozycja. Nie mamy nic wspólnego z P. P. S. ani z komunistami, z którymi blisko się trzyma Naprawa.

Tłum cichnie, ostyga.

A wtem mówca podnosi głos. Mówi przeciwko pięcioprzymiotnikowemu prawu wyborczemu. Urywa. Na sali podnosi się wrzawa.

Gdzieś z boku słychać poszarpaną kupkę głosów. To pewnie bojówka P. P. S. Można rozróżnić: — Niech żyje prawo wyborcze pięcioprzymiotnikowe! —

— Precz!!! — odpowiada sala.

— Niech żyje!

— Precz! Precz! —

Mówca urywa. Odzywa się pewny siebie, spokojny głos Piaseckiego.

— Proszę o spokój! Proszę o spokój! — Dwudziestu ze Straży Porządkowej proszę uspokoić tych panów! —

Na arenę wbiega kilkanaście zielonych opasek, z krzeseł wyskakują głosy, ryczące: „Niech żyje!". Krzesła wyrywane, pałki, białe szczątki rozdeptanego godła, wgniecione tupiącymi stopami w brudne grudki piasku. Wrzask, wrzask, wrzask. Z dumnego napisu pozostało teraz: „Ży... ś.. rć.. nar..." — Piasecki krzyczy: Proszę o spokój! Proszę o spokój! Spokojnie! Spokojnie! — Na skraju areny leżą połamane szczątki krzesła.

Z góry, z drugiego piętra, z błyskawiczną szybkością zjeżdżają po balustradach, galeriach i głowach czarne postacie. Małe „szczątki" szmygające po wszystkich piętrach spuszczają na kłąb wrzasku skotłowany na arenie bukiety zielonych ulotek.

W kwadrans potem wśród zwartości głów ludzkich na dole bieleje pusta wyrwa.

— Kol. Wojciech Kwasieborski kończy swoje przemówienie — zapowiada ostry głos. —

— Głos ma kol. Marian Reutt. —

Koledze Reuttowi brak widocznie wątku myślowego. Powtarza często: „Niech żyje przełom narodowo-radykalny!" i przez czas oklasków zagląda do małej zielonej broszurki, którą, za jedne 10 gr." można kupić od tych, co to twierdzą, że „już ostatnie w Polsce sygnały..." — Schodzi wreszcie żegnany oklaskami, dziękujący za okrzyki przeciw „sparszywiałym żydziakom".

Teraz dwa reflektory oświetlają uzbrojone postacie, mundury, przekreślone przez pierś skórzanymi pasami, ustawia się Straż przyboczna führera Bolesława Piaseckiego. Dwóch z przodu, dwóch z tyłu.

— Brawo! Brawo! Brawo! Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!

Hymn Młodych: „Już zwycięstwa dzień nadchodzi! Wielkiej Polski moc to my!"

Po inwokacji hymnu, w oprawie sprężonych, trzymających ręce na rewolwerach, szturmowców — Piasecki mówi. Atuty wygrywane zawsze i wszędzie. O Polsce szarej, o zaciekających nędzą chatach, o doli robotnika, o panoszącej się bezideowości, o konieczności zmiany, przełomu (niech żyje! brawo! brawo!).

— Czy Polsce potrzeba lekarza wewnętrznego, czy chirurga. Według mnie tylko chirurga! — (niech żyje! brawo! brawo!).

Z cyrku wysypuje się tłum. Wzdłuż jezdni, aż do Nowego Światu sznur policjantów. Gromada spełza na chodniki spychana przez granatowe mundury.

— Niech żyje O. N. R! — słyszę nad uchem. Odwracam się. Aha! Andrzej Świetlicki... To już wyszedł z więzienia? — zdziwiłam się w duchu. — Jeszcze nie siedzi? Patrząc na jego twarz ustalam swój przyszły zawód. Będę dentystką. Piasecki powiedział, że O. N. R. wyjdzie na ulicę, że ma „inną platformę walki" i że będzie codzień przekonywał swych przeciwników. Zębów nie starczy. Przyszłość zapewniona.

Kol. Świetlicki przemyka się pod murem, bo słychać ucięty gumową pałką okrzyk: „Niech żyje Obóz Nar...!"

Od Cyrku niesie się aż na róg głos rozczochranej „falangistki":

— Organ Młodzieży narodowo - radykalnej do walki z żydo-komuną, „Falanga", świeży numer, 10 gr. — Już ostatnie w Polsce sygnały... —

Dziś niedziela. Żaluzje na kruchych szybach sklepowych i tak są spuszczone.

Marta Łużycówna.

NOTATNIK GOSPODARCZY

Z zagadnień etatyzmu

Z okazji wycieczki publicystów i dziennikarzy do Centralnego Okręgu Przemysłowego ukazały się w prasie naogół entuzjastyczne sprawozdania z tego, co tam się robi, względnie zrobiło.

Obok refleksji krajoznawczo - poetycznych, pojawiły się i refleksje o charakterze t. zw. ekonomicznym. — Te ostatnie, zamieszczone w artykule p. T. Sławińskiego w „Przeglądzie Gospodarczym" z dn. 1 listopada b. r., dały asumpt do napisania poniższych uwag.

Szczególnie charakterystyczna jest myśl p. S. wypowiedziana na marginesie omawiania działalności państwowej fabryki prochu w Pionkach, działalności polegającej na wybudowaniu nowej fabryki celulozy z „oszczędności" w kwocie 11 milionów.

Panu S. nie chodzi już tak bardzo o samą nazwę „oszczędności", choć wolałby — by określić je nazwą poprostu „zysku". Z punktu widzenia teorii bilansu uwaga zupełnie słuszna — z praktycznego punktu widzenia uwaga tego rodzaju zamieszczona w organie wielkiego przemysłu — aż prosi o zapytanie, czy autora nie raziłaby ewentualność nazwy „oszczędności w dziale kosztów i wydatków administracyjnych?"...

Panu S. chodzi jednak o rzecz zasadniczą. Otóż stwierdza, że przemysł celulozowy jest aktualnie bardzo rentowny i dlatego oburza się, że właśnie państwowa fabryka w tej dziedzinie przemysłu ma prosperować. I to mimo, że grupa prywatnych kapitalistów miała wyrazić chęć odkupienia tej fabryki za cenę... kosztów jej postawienia. Ma to być niezdrowy objaw etatyzmu. Ma to być ta druga strona medalu ze znakiem C. O. P.

Panu S. wydaje się zupełnie naturalne, że *inicjator*, w tym wypadku *fabryka państwowa*, odstąpi udany efekt swej inicjatywy grupie, która jedynie czerpałaby *pewne* zyski, grupie... prywatnego kapitału i to po cenie zaledwie kosztów budowy. Nie zastanawia go zupełnie tak jaskrawe podkreślenie przez siebie samego skuteczności *państwowej* inicjatywy—gdy żąda dla prywatnego konsorcium *pewnych* i dużych zysków. A przecież w imię czego tak forsuje się prywatną gospodarkę?...

Pan S. wychodzi bowiem z zasadniczego stanowiska, że państwo winno zabierać aktywnie głos jedynie w tych dziedzinach gospodarstwa, gdzie to się prywatnemu kapitaliście nie opłaca, a gdzie inne przesłanki wymagają jednak działalności gospodarczej. Zasada ta jest niewątpliwie bardzo wygodna i dla przedsiębiorców prywatnych, zwłaszcza przy założeniu, że państwo z chwilą ujawnienia się rentowności danej fabryki musi ją oddać „*przedsiębiorcy*" prywatnemu, i dla pewnej grupy „etatystów", tych zwłaszcza, którzy nie potrafią się okazać dobrymi przedsiębiorcami, a którym dewiza „nierentowności zasadniczej" jest doskonałą tarczą; co jednak absolutnie nie może być rozumiane, że wszystkie istniejące przedsiębiorstwa państwowe mają warunki rentowności.

I tu dochodzimy do błędnego koła rozumowania zwolenników wyłącznego prywatno - kapitalistycznego gospodarowania. Mianowicie najkapitalniejszym zarzutem przeciw „etatyzmowi" jest to, że przedsiębiorstwa państwowe nie są zdolne, nie potrafią ekonomicznie, z należnym zyskiem gospodarować. A jakżeż mają mieć ten zysk, który oblicza się w stosunku jedynie do włożonego kapitału, a nie także do zadań i obowiązków specjalnych, których druga strona porównania — przedsiębiorstwa prywatne — nie ma, skoro zgóry się zakłada, że takiego zysku nie będzie, bo dana gałąź jest „nierentowna"?

Wywód powyższy nie zmierza do apoteozowania t. zw. „etatyzmu", ani do potępiania „prywatnej inicjatywy". Sensem jego jest stwierdzenie, że platforma t. zw. „rentowności" w sensie stosunku bezpośrednich pieniężnych zysków do włożonego kpitału nie rozwiązuje *zagadnienia:* państwowe, czy prywatne przedsiębiorstwo, w sensie szkodliwości lub użyteczności jednego, lub drugiego rodzaju gospodarowania.

Bo zresztą zagadnienie samo jest *teoretycznie* nie do rozwiązania i szukanie rozwiązania w teorii ekonomii jest postawieniem sprawy fałszywym. Z prawideł ekonomii teoretycznej nie może wynikać wniosek, że ta, czy inna osoba prawna czy fizyczna ma być właścicielem danej fabryki, czy może być właścicielem wogóle.

Możemy stwierdzić jedynie, że przy jednakowych warunkach produkcji i rynku, wyniki dwóch konkurencyjnych przedsiębiorstw zależeć będą od działalności ich kierowników. Od osób. I to jest sedno sprawy. Jeżeli fabryka państwowa potrafi *przyciągnąć* zdolniejszego kierownika i zespół pracowniczy, i dać im odpowiednie *warunki* do ich twórczej inicjatywy niż dajmy na to spółka akcyjna, to sprawa jest *życiowo* rozwiązana.

K. Hedinger.

O NAS U OBCYCH

Zagadnienie Ukraińskie w oświetleniu niemieckim

W pewnych kołach niemieckich zaczyna w ostatnim czasie odżywać znowu *sprawa Ukrainy*, rozpatrywana tym razem pod politycznym kątem widzenia, podczas gdy kilka miesięcy temu tę samą sprawę te same koła analizowały od strony gospodarczej.

Volkischer Beobachter (nr. 216) wysuwa tu po nieco przydługich i równocześnie ryzykownych rozważaniach historycznych, w których podkreśla się przede wszystkim utrzymanie przez „Ukrainę" niezawisłości politycznej od zarania jej dziejów po czasy nowoczesne — postulat możliwie szybkiego powołania do życia niezawisłego państwa ukraińskiego. Zrealizowanie tego postulatu miałoby wpłynąć poważnie na ogólną sytuację polityczną i gospodarczą Europy, gdyż w ten sposób obóz, zwalczający „zarazę komunistyczną", otrzymałby jednego sojusznika więcej, a dalej — dzięki gospodarczym walorom Ukrainy — możnaby przystąpić do uporządkowania zawikłanych europejskich stosunków gospodarczych(!). *Völkischer Beobachter* zwraca się w związku z tym pod adresem zachodnio-europejskich, demokratycznych państw z wyrzutem, że tak doniosłą sprawę, jaką jest zagadnienie Ukrainy, zbywają milczeniem i przechodzą nad nią do porządku dziennego, pochwalając bez głębszego zastanowienia praktyki, jakie na terenie Ukrainy stosuje Stalin.

W elaboracie *V. B.* mówi się z powyższej okazji o związkach, jakie istniały między rozwojem historycznym sprawy ukraińskiej a Polską, b. wiele i — dodajmy — b. tendencyjnie. O dzisiejszej ludności ukraińskiej w Polsce pismo mówi np., że w wyniku postanowień Traktatu Wersalskiego ludność ta „została zdegradowana do roli obywatela drugiej klasy". Termin „Ruś" nie może autorowi elaboratu przejść przez usta; omawiając np. pewne wydarzenia historyczne z w. IX (!), posługuje się on nagminnie terminem „Ukraina", mimo że termin ten powstał kilka wieków później. Charakterystyczne wreszcie jest przemilczenie — w zarzutach stawianych przez pismo państwom zachodnio - europejskim, że nie doceniają sprawy ukraińskiej i nie myślą poważnie o niezawisłym państwie ukraińskim — Polski, a więc państwa niewątpliwie zainteresowanego sprawą ukraińską.

Mniejszości narodowe w Polsce a służba wojskowa

Bytomska *Ostdeutsche Morgenpost* (nr. 319) omawia w dłuższym artykule stosunek mniejszości narodowych w Polsce do wojska, analizując przede wszystkim to zagadnienie w odniesieniu do mniejszości ukraińskiej i niemieckiej.

Jeżeli chodzi o Ukraińców, to — według *O. M.* — stosunek ich do wojska jest pozytywny, gdyż wynika on z pewnych przesłanek narodowo - ukraińskich, opartych na całokształcie warunków rozwojowych dzisiejszego życia ukraińskiego. Kierownicy tego życia doceniają w całej pełni doniosłość wyszkolenia wojskowego młodego pokolenia ukraińskiego i instruują odpowiednio w tym kierunku młodych ludzi, powoływanych do odbycia służby w wojsku. Żołnierz ukraiński jest pod względem narodowym dostatecznie uświadomiony i wartość jego nie powinna być niedoceniana. Całokształt nastawienia Ukraińców do wojska stoi pod przemożnym wpływem ukraińskich racji narodowo - politycznych i z tego względu kształtuje się on pozytywnie.

W odniesieniu do Niemców stwierdza pismo, że młodzież niemiecka w Polsce nosi mundur wojskowy z pełnią odpowiedzialności za ciążące na niej z tego tytułu obowiązki wojskowe. Żołnierz niemiecki wyróżnia się z pośród reszty swoich towarzyszy wyższymi walorami kulturalnymi, większym zdyscyplinowaniem i wzorowym prowadzeniem się. W kolizję z kodeksem żołnierz niemiecki w Polsce wchodzi bardzo rzadko. Każdy młody Niemiec odbywa służbę w wojsku z całym zapałem. Zapał ten jednak traci z chwilą powrotu do życia cywilnego, gdzie zmuszony jest borykać się z losem i przezwyciężać trudności natury materialnej.

Na marginesie powyższego peanu należy stwierdzić, że — jak to wykazują Dzienniki Wojewódzkie z ziem zachodnich — lwi odsetek uchylających się od służby w wojsku polskim poborowych stanowią właśnie... Niemcy.

PRZEGLĄD PRASY

Zjazd Wileński P. O. W.

Deklaracja ideowa I. Ogólnopolskiego Zjazdu P. O. W. w Wilnie miała być — jak to powszechnie przewidywano — kontynuacją lwowskiej deklaracji legionowo - peowiackiej i dalszym etapem polityki, zmierzającej do uzyskania korektur w akcji konsolidacyjnej.

WIEK NOWY (nr. 10956 z 24.11), zastanawiając się nad podobieństwem i różnicami pomiędzy Lwowem a Wilnem, w odniesieniu do podobieństwa stwierdza co następuje:

„Pewne wspólne punkty niewątpliwie istnieją. A więc tu i tam zasadniczo pozytywny stosunek do akcji konsolidacyjnej, do apelu Marszałka Śmigłego. Tu i tam z własnej, żołnierskiej i patriotycznej tradycji zaczerpnięto gotowość dalszej pracy na rzecz wielkości i potęgi Polski. Tu i tam negatywny stosunek do totalizmu; zagadnienie to ujęto w Wilnie nawet nieco szerzej, rozróżniając dwa totalizmy— klasowy i nacjonalistyczny — i potępiając oba".

Ale są też i różnice.

„Na ogół deklaracja lwowska jest bardziej szczegółowa, wileńska przeważnie krąży w orbicie t. zw. odświętnej retoryki. Zastrzega się zresztą, że w „miłym mieście Komendanta" nie chce „stawiać ani sobie, ani narodowi naszemu przed oczy rzeczy małych — zła przemijającego". Czyżby za taką „małą rzecz" uznano problem demokracji, we Lwowie wysunięty na czoło, w Wilnie pominięty najzupełniej? Pominięto także zagadnienie umowszczyzny oraz problem polskiej polityki kresowej. Dla opinii publicznej najbardziej interesująco przedstawia się zapewne sprawa starannego wyprania deklaracji z akcentów demokratycznych.

Różnicę najistotniejszą stanowi jednak fakt, że

„we Lwowie uchwalono szereg tez o charakterze niedwie bojowym, pod ostrym kątem atakujących miarodajną do tej chwili linię polityczną. W Wilnie nie przeciwstawiano się — poza totalizmem — niczemu. We Lwowie postawiono warunki, w Wilnie dano aprobatę i aplauz bez zastrzeżeń. We Lwowie zapowiedziano walkę o demokratyzację systemu wewnętrznego, w Wilnie zagubiono to hasło bez śladu. Co się stało, co zaszło w ciągu dni 14, że jednak — bo inaczej nie można sprawy określić — zatracił się cały reformatorski rozpęd, ujawniony przez ośrodek lwowski?"

Zastanawiając się nad tym zagadnieniem, pismo dochodzi do przekonania, że istnieją dwie możliwości, mogące dać na to odpowiedź, a mianowicie:

„Albo: 1) ogół peowiaków nie podziela poglądów lwowskich i odgranicza się od nich w sposób dostatecznie wyraźny, albo też 2) w ciągu dwóch tygodni zaszły zmiany, usprawiedliwiające zmianę frontu i czyniące szereg żądań zbędnymi".

Swoje stanowisko w powyższej sprawie pismo precyzuje następująco:

„P. O. W. zdjęła z porządku walkę o demokrację, ponieważ posiada dane, że zwrot do demokracji rzeczywiście nastąpi. Upoważniają nas do takiego wniosku nie plotki i pogłoski o zakulisowych rokowaniach i „uzgodnieniach", lecz znów logika.

Po odłożeniu na bok wszelkich krasomówczych dekoracyj, problem wewnętrznej polityki polskiej można ująć w paru tezach. A mianowicie:

Konsolidacja jest konieczna.

Konsolidację można zrealizować metodą przymusu (totalizm), lub powszechnej, dobrowolnej współpracy (demokracja). Tertium non datur.

Zjazd wileński potępił totalizm".

Ku czemu zmierza Stalin

Ostatnie wydarzenia w Sowietach (rozgrywka Stalina ze starą gwardią bolszewicką) mają utrwalać — jak sądzi Otmar w GAZECIE POLSKIEJ (nr. 326 z 24.11) — w części opinii publicznej poglądy:

„1) o „wygasaniu" rewolucji bolszewickiej, a co za tym idzie, o zmniejszaniu się niebezpieczeństwa sowiecko - kominternowskiego dla pozostałego świata,

2) o „utraceniu równowagi" przez Stalina oraz o oportuniźmie sowieckiego dyktatora, graniczącego z absolutnym brakiem zasad i hamulców".

Można jednak zapatrywać się na wydarzenia Sowieckie i z innego punktu widzenia. Jak stwierdza J. Warecki w POLITYCE NARODÓW (zeszyt z października b. r.) — sytuacja w Sowietach podlega prawom logicznej przyczynowości oraz kierującej i świadomej celu woli dyktatora:

„Stalin — czytamy tam — wierząc w dziejową konieczność zwycięstwa komunizmu zarówno w Rosji, jak i na całym świecie, ma przeświadczenie, że on właśnie jest powołany do dokonania tego dzieła i że jedyna droga ku temu, to silne państwo sowieckie. Jasne jest dla niego, że tezy trockizmu prowadzą nieuchronnie do osłabienia i upadku państwowości własnej, a przez to do zmniejszenia szans komunizmu w nieuniknienie nadciągającej — jego zdaniem — walnej rozgrywce ze światem kapitalistycznym. Stąd rozgromienie wrogiej i niebezpiecznej ideologii lewo - opozycyjnej, celem niedopuszczania jej rozwoju w momencie, gdy ma ku temu podatny teren, było dla niego nie tylko sprawą ambicji personalnej i chęci obrony własnego zagrożonego stanowiska, ale i kwestią walki o triumf za-

sady, w której słuszność głęboko wierzy.

Na tym tle dopiero okazuje się w całej pełni powód tak brutalnej rozprawy z dawnymi opozycjonistami i ich bezpośrednimi i pośrednimi adherentami. Tłumaczy to również konsekwentne dążenie per fas et nefas do skompromitowania w oczach mas ideologii trockistowskiej przez pozbawienie jej ideowości i przedstawienie jej wodzów i wyznawców jako przekupionych przez faszystów prowokatorów".

„Dopóki Stalin — pisze „Polityka Narodów" — wierzy w tak dla nas jasny nonsens, że Zachód stoi na progu rewolucji społecznej — a wiara ta jest trwała, gdyż wypływa z doktrynersko - logicznych dedukcyj, nie uwzględniających, z powodu osobistej nieznajomości tych terenów, faktycznej tam rzeczywistości — nie będzie on w stanie podejść racjonalnie do zagadnienia uporządkowania życia wewnętrznego Związku Sowieckiego.

Postawa ideowa, na której chce się trwale oprzeć Stalin, jest słaba i łatwa do zaatakowania. Właśnie dlatego nie ma on zaufania do środowisk ideowych i pozbywa się ich świadomie na korzyść elementów służalczo - biurokratycznych. W tym tkwi właśnie jeden z powodów odsunięcia partii na plan dalszy i szukania oparcia w masach za pomocą prób wygrywania hasła obrony ojczyzny i konserwacji istniejącego stanu rzeczy".

Rezygnując w ten sposób z dynamizmu entuzjazmu rewolucyjnego, stanowiącego bądź co bądź twórczą siłę, Stalin idzie w kierunku nowych, ciężkich zmagań, uzbrojony jedynie w siłę organizacji państwowej. Jak konkluduje pismo jest to dużo — zwłaszcza w warunkach rosyjskich — lecz dopóki to jest na prawdę siła. Bilans chwili obecnej zapowiada Stalinowi trudne walki.

Porównywując tezy Wareckiego z poglądami Otmara stwierdzamy, że wynika z nich jednakowo: na bliższy dystans czasu należałoby się spodziewać osłabienia, czy wręcz zaprzestania ofenzywy Komiternu w świecie

Ludowcy o nowych wyborach

Nawiązując do poruszonej w złożonym na Zamku memoriale PPS sprawy nowych, demokratycznych wyborów, naczelny organ Stronnictwa Ludowego ZIELONY SZTANDAR (nr. 61 z 28.11) — tak oto precyzuje stanowisko ludowców wobec powyższego zagadnienia:

„Dla nas — politycznego ruchu chłopskiego — stosunek do zagadnienia zmiany obecnej ordynacji wyborczej i rychłych wyborów do ciał parlamentarnych jest miarą rzetelności względem własnego narodu. Nie ma dziś, naszym zdaniem, w Polsce takiego człowieka, ani takiej grupy ludzi, którzy mogliby się wykazać legitymacją wystarczającą do rządzenia państwem bez pytania się o zgodę społeczeństwa. Nie widzimy też innej realnej formy wyrażania się owej zgody lub niezgody społeczeństwa poza parlamentem, stanowiącym rzeczywiście niesfałszowane tego społeczeństwa przedstawicielstwo. Nie widzimy również możliwości przetłoczenia w czyn tych górnych haseł, od których rozlega się powietrze polskie — haseł o „podciągnięciu Polski wzwyż", o „skupieniu wszystkich żywotnych sił narodu" itp., bez związania najszerszych mas obywateli z państwem, bez dania im możności oddziaływania na życie tego państwa".

Podkreśliwszy konieczność realizacji wypowiadanych haseł, przede wszystkim ze względu na pacyfikację nastrojów mas, pismo konkluduje:

„Dla mas chłopskich nowe, demokratyczne wybory, nie tylko do Sejmu i Senatu, ale i do samorządów wszystkich szczebli, nie są skokiem w ciemność", przeciwnie są gwarancją, że życie Polski, oparte o najszerszą ludową podstawę, toczyć się będzie normalnym trybem bez „skoków", bez „przewrotów", bez szaleńczych pomysłów o „nocach św. Bartłomieja". Gdy cały naród o swym losie decyduje — rzadko się zdarzają „skoki w ciemność". Państwo polskie nie doznało jeszcze nigdy zawodu ze strony swych mas. W chwilach dla siebie najtragiczniejszych zwracało się do warstw ludowych — i od nich otrzymywało siłę, zabezpieczającą jego byt. Nie może więc i dziś być połączone z niebezpieczeństwem dla państwa oparcie go o warstwy ludowe".

Błędna taktyka

KURJER WILEŃSKI (nr. 325 z 26.11), nawiązując do oświadczenia gen. Knolla, że mające miejsce w Poznaniu akty napaści na uczestników pochodu w dniu 11 listopada uderzyły w wojsko, mimo, że równocześnie wznoszone były okrzyki na cześć defilującego wojska, pisze co następuje:

„Rzeczywiście w tych warunkach wznoszenie okrzyków na cześć armii należy uznać nie tylko za mydlenie oczu, ale za faryzeizm i obłudę najgorszego gatunku. Okrzyki na rzecz armii, a jednocześnie objawy gorszącej niesubordynacji! Czyż nie jest doprawdy tragiczne, że ci ludzie dotąd nie rozumieją całej okropności tego zestawienia? Gdyby się to jeszcze zdarzyło w jakimś innym narodzie, ale u nas na tle całej naszej jakże pouczającej przeszłości?

Młodzi Stronnictwa Narodowego wykazują w swym postępowaniu zastraszający brak logiki. Chcą karabinów, nie orkiestry, chcą żeby im wyłącznie zaufała armia i Wódz Narodu.

Żądają więc dużego kredytu zaufania, ale czyż uczynili choć cośkolwiek, aby dać jakiekolwiek gwarancje, że im można zaufać? Zdawałoby się, że wzięcie udziału w Święcie Niepodległości gremialne, zdecydowane, jak jeden mąż, stanowiło najbardziej łatwą do przyjęcia formę zadeklarowania chęci współpracy z armią i Wodzem Naczelnym. A oni odpowiedzieli na to nie czynem, a wykrętami, nie zapałem, a udzielaniem nauk najwyższemu Zwierzchnikowi Sił Zbrojnych za pośrednictwem ulotek, że on się nie powinien mieszać do... polityki.

Czy w tych warunkach Wódz Naczelny może na młodzieży Stronnictwa Narodowego polegać wyłącznie?"

Odpowiedź jest jasna: Wódz Naczelny nie może polegać na młodzieży endeckiej.

Stołeczna AKCJA NARODOWA (nr. 5 z 25.11) określa wypadki poznańskie jako jeden z etapów błędnej polityki przywódców Stronnictwa Narodowego:

„Obserwując pilnie taktykę Stronnictwa Narodowego, niejednokrotnie dochodziliśmy do wniosku, że pewne zainteresowane czynniki, wyzyskując bezmyślność i zaślepienie, panujące w niektórych kołach tej partii zupełnie świadomie popychają Stronnictwo do akcji, z której nie ma powrotu i która zostawia wolne pole do działania czynnikom antynarodowym. Długa współpraca Stronnictwa Narodowego z kołami „frontu Morges" — nie przerwana całkowicie do dnia dzisiejszego, musi budzić poważne refleksje wśród tych, którzy znają kulisy życia politycznego.

Stronnictwo Narodowe tłumaczy nieraz swoją taktykę tym, że narodowców oraz ideę narodową usuwa się świadomie z życia państwa. Nie przeczymy, że mogły być popełnione w przeszłości poważne błędy w stosunku do kierunku narodowego. Dziś wszakże czasy się zmieniły. Dziś wszystko stoi właściwie otworem przed wyznawcami zasad narodowych, byle by tylko wiązali je z państwem, a nie z grymasami partii politycznej. Dziś stwierdzić to trzeba z naciskiem, że nie kto inny, tylko Stronnictwo Narodowe nie chce, by narodowcy współdziałali z państwem. O tym trzeba pamiętać, by nie zatarła się pod tym względem odpowiedzialność, która spada dziś wyłącznie na przywódców S. N.".

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem